

ARTHUR CONAN DOYLE

TRAGEDIA „KOROSKA”

ROZDZIAŁ I

Czytelnik może być bardzo zdziwiony, dlaczego nigdy nie spotkał się w prasie z wiadomością o wypadku, jaki zdarzył się pasażerom *Koroska*.

W naszych czasach, gdy cały świat znajduje się w zasięgu działania agencji prasowych, czułych na najlżejszy bodziec, wydaje się nieprawdopodobne, aby wydarzenie międzynarodowe o takiej doniosłości, dotychczas nie zostało nigdzie zarejestrowane. Musiały istnieć bardzo ważne powody, natury osobistej i politycznej, które wpłynęły na zatuszowanie sprawy. W swoim czasie szczegóły te były dobrze znane szerszemu gronu ludzi i relacja o nich ukazała się w jednym z pism prowincjonalnych, ale obudziła powszechne niedowierzanie. Obecnie przekazujemy ją w formie opowiadania, skonstruowanego na podstawie popartych przysięgą zeznań pułkownika Cochrane Cochrane z Klubu Armii i Floty oraz listów panny Adams z Bostonu (Massachusetts).

Uzupełnia je zeznanie kapitana Archera z egipskiego Korpusu Wojsk Wielbłądzych, złożone podczas tajnego przesłuchania przez władze w Kairze. Pan James Stephens odmówił sporządzenia opisu wydarzenia, ale ponieważ przedstawiono mu akta i nic w nich nie zmienił i nie wykreślił, należy przypuścić, że nie znalazł nic niezgodnego z prawdziwym stanem rzeczy, a wszystkie zastrzeżenia, jakie czynił co do ich opublikowania, były natury raczej prywatnej i osobistej.

Korosko wypłynął dnia 13 lutego 1895 roku z Shellal nad pierwszą kataraktą i zdążył do Wady Halfa. Jestem w posiadaniu listy pasażerów, uczestników tej wycieczki. Listę tę podaję.

Korosko, 13 lutego.

Pasażerowie:

pułkownik Cochrane Cochrane	— Londyn
pan Cecil Brown	— Londyn
pan John H. Headingly	— Boston, Stany Zjednoczone
panna Adams	— Boston, Stany Zjednoczone
panna Sadie Adams	— Worcester, Massachusetts, Stany Zjednoczone
pan Fardet	— Paryż
państwo Belmont	— Dublin
pan James Stephens	— Manchester
ksiądz John Stuart	— Birmingham
pani Schlesinger z dzieckiem i boną	— Florencja

Oto towarzystwo, które wyruszyło z Shellal z zamiarem odbycia przejażdżki po Nilu nubijskim w górę rzeki, na przestrzeni dwustu mil, jakie dzielą pierwszą kataraktę od drugiej. Dziwny to kraj ta Nubia. Pod względem szerokości waha się od kilku mil do tyłuż jardów (nazwa bowiem dotyczy tylko wąskiego skrawka ziemi, zdatnego do uprawy), a przedstawia się jak cienki, zielony, oblamowany palmami pas po obu stronach szerokiej, kawowego koloru, rzeki. Poza nim rozciąga się na brzegu libijskim dzika i bezkresna pustynia, która zajmuje całą szerokość Afryki. Równie dzika pustynia po drugiej stronie dochodzi aż do dalekiego Morza Czerwonego. Między tymi dwoma ogromnymi i jałowymi płacami ziemi Nubia rysuje się wzdłuż koryta rzeki jak zielona glista ziemna. Miejscami znika zupełnie i Nil płynie pośród czarnych zżartych przez słońce pagórków, gdzie pomarańczowy nawiany piasek leży w żlebach, jak lodowce. Na każdym kroku widać ślady minionych ras i cywilizacji. Dziwaczne grobowce

znaczą się jak cętki na pagórkach, albo wcinają się w horyzont; groby w kształcie piramid, groby wykuwane w skale — wszędzie groby. Czasami, gdy statek okrąży skalisty występ widzimy na jego szczycie opustoszałe miasto, domy, mury, warownie, w które słońce przenika przez dziury okien. Niekiedy słyszymy, że był to gród rzymski, czasem, że egipski, niejednokrotnie wszelki ślad nazwy i pochodzenia zaginał. Pytamy sami siebie zdumieni, dlaczego te wszystkie szczepy pobudowały się na tym odstrasającym pustkowiu i nie łatwo zgadzamy się z twierdzeniem, że były to tylko wartownie przed bogatszą krainą, położoną w dole rzeki i że te liczne miasta to jedynie twierdze, wzniesione przeciw dzikim hordom łupieżców z południa. Ale o czym bądź one świadczą — o drapieżnym sąsiedzie, czy o zmianie klimatu — stoją tutaj, te ponure i milczące grody, a po szczytach pagórków oglądać możemy mogiły ich mieszkańców, niby strzelnice na okręcie wojennym. W ten to niesamowity, zamarły kraj turyści, zmierzający do granicy egipskiej, zapuszczają się z dymem cygar, plotkami i zabawą.

Podróźni z *Koroska* tworzyli wesołą, zżytą gromadkę, ponieważ większość z nich odbyła już razem drogę z Kairu do Assuanu, a nawet anglosaski łód topnieje raptownie nad Nilem. Mieli szczęście, że nie znalazł się w ich gronie nikt niesympatyczny, co na małych statkach wystarczy, aby zmrozić całe towarzystwo. Na parowcu niewiele co szerszym od kłębow dymu, natręt, cynik, albo zrzęda, od razu może narzucić swój ton. Ale *Korosko* był wolny od tego rodzaju nieprzyjemności. Pułkownik Cochrane Cochrane należał do tych oficerów, których rząd, opierając się na zasadzie wysługi lat, ogłasza w pewnym wieku za niezdolnych do dalszej służby i którzy udowadniają wartość takiego systemu, pędząc swoje późne lata na wyprawach eksploatacyjnych do Maroka, albo na strzelaniu do lwów w kraju Somali. Był to człowiek o wyglądzie orlim, sztywny, świadomy, w sposobie bycia pełen grzeczności, ale spojrzenie miał twarde i badawcze. Ubierał się w sposób ogromnie staranny i drobiazgowy — gentleman aż po końce wypielęgowanych paznokci. Przez swoją anglosaską niechęć do wylewności, wyrobił w sobie powściągliwość, która w pierwszych chwilach znajomości z nim mogła być aż odpychająca; jednak ludzie, którzy go znali bliżej, wiedzieli, że dosyć trudno mu przychodziło ukryć dobre serce i czysto ludzkie uczucia, które kierowały jego postępkami. Wśród towarzyszy podróży wzbudzał raczej szacunek, niż sympatię, czuli bowiem, jak wszyscy ci co mieli z nim do czynienia w życiu, że jest to człowiek, z którym znajomość prawie nigdy nie przechodzi w przyjaźń, jakkolwiek przyjaźń, raz zawarta, stałaby się niezmienną i nieodłączną treścią jego duszy. Nosił szpakowate, podstrzyżone po oficersku wąsy, ale włosy miał dziwnie czarne jak na człowieka w tym wieku. W rozmowach swoich nie wspominał licznych wypraw, w których się odznaczył, a jako przyczynę milczenia podawał zwykle okoliczność, że są to wydarzenia, z tak wczesnych lat panowania królowej Wiktorii, iż woli poświęcić swoją chwałę rycerską na ołtarzu swojej wiecznej młodości.

Pan Cecil Brown — biorąc nazwiska w porządku, w jakim figurują na liście pasażerów — był młodym dyplomatą przy jednym z poselstw na kontynencie, człowiekiem lekko zarażonym manierą oksfordzką, ale jako umysł wysoce był kulturalny, a w rozmowie prawdziwie interesujący. Miał smutną, piękną twarz, małe, ostre, wywoskowane wąsiki, niski głos i leniwe ruchy, które podkreślał jeszcze śliczny nawyk nagłego rozświetlania twarzy niespodziewanym uśmiechem i błyskiem, ilekroć coś poruszyło jego wyobraźnię. Nabyty cynizm miażdżył wiecznie i maskował jego wrodzony młodzieńczy zapał. Przechodził do porządku dziennego nad tym, co się powszechnie podobało, a wyrażał się z uznaniem o wszystkim, co dla przeciętnych ludzi było trywialne lub niezdrowe. Jako lekturę na podróż wybrał Waltera Patera i uprzejmy, ale pełen rezerwy, siadywał codziennie pod zasłoną z powieścią i ze szkicownikiem rzuconym obok na ogrodowe krzesło. Osobista godność nie pozwalała mu na próby nawiązywania kontaktu z

innymi, ale jeżeli ktoś pierwszy zwrócił się do niego, znajdował w nim miłego i uprzejmego towarzysza.

Amerykanie stanowili oddzielną grupę. John H. Headingly pochodził z Nowej Anglii, otrzymał właśnie dyplom uniwersytetu w Harvard i dopełniał swego wykształcenia, odbywając podróż dookoła świata. Był to najdoskonalszy typ młodego Amerykanina: żywy, spostrzegawczy, poważny, żądny wiedzy i wolny od przesądów, z lekką dozą niesekciarskich, ale szczerych uczuć religijnych, które czyniły go odpornym wobec wybryków młodości. Posiadał mniej pozorów, ale za to w treści większą kulturę od młodego dyplomaty, ponieważ miał bardziej wyostrzoną wrażliwość, mimo nie tak szczegółowej wiedzy. Panna Adams i panna Sadie Adams były to ciotka i siostrzenica. Pierwsza z nich, drobna, energiczna, o ostrych rysach stara panna z Bostonu, z bogatym naddatkiem niewyzyskanej miłości, pod szorstkim, kanciastym pozorem, po raz pierwszy znalazła się poza domem i dobrowolnie wzięła na siebie obowiązek niesienia na Wschód sztandaru Massachusetts. Zaledwie postawiła stopę na ziemi egipskiej, zauważyła, że kraj ten wymaga koniecznie uporządkowania, a odkąd zrodziło się w niej to przekonanie, była bezustannie zajęta. Osiodłane osły, zdychające z głodu psy, pariasi, muchy oblepiające oczy niemowląt, nagie dzieci, natrętnie żebrzące, obszarpane i brudne kobiety, wszystko to raniło jej sumienie toteż rzuciła się odważnie w wir pracy reformatorskiej. Ponieważ nie знаła ani jednego wyrazu miejscowego języka i nie mogła żadnemu z przestępców wyjaśnić o co jej chodzi, jej wyprawa nilowa pozostawiła niewdzięczny Wschód na takim samym poziomie, na jakim go zastała, dostarczyła za to dużo milej rozrywki towarzyszom podróży. Ale nikogo jej wysiłki nie bawiły tak, jak jej siostrzenicy, Sadie, która razem z panią Belmont cieszyła się największą popularnością na statku. Była młodzianka — dopiero ukończyła kolegium Smitha i niejedno w niej jeszcze pozostało z zalet i przywar dzieciństwa. Miała dużo bezpośredniości, gotowości do zwierzeń, niewinną prawość i pogodę, obok rozmowności i pewnego braku uszanowania. Ale nawet jej usterki bawiły, a chociaż zachowała sporo cech rozgarniętego dzieciaka, była niemniej słuszną i śliczną kobietą, która wyglądała na więcej lat, niż miała naprawdę, z powodu włosów zczesanych nisko na uszy i pełni staniczka, i spódniczki pana Gibsona. Szelest tej spódniczki, jasny donośny głosik i swawolny, udzielający się śmiech, były to dobrze znane i mile widziane na *Korosku* dźwięki. Nawet sztywny pułkownik miękł we względną serdeczność, a dyplomata oksfordzki zapominał o swojej pozie w towarzystwie panny Sadie Adams.

O reszcie podróży wystarczy parę słów. Niektórzy byli zajmujący, inni obojętni, a wszyscy mili. Pan Fardet to poczciwy ale gwałtownie dyskutujący Francuz, który miał zdecydowane przekonanie co do ciemnych machinacji Wielkiej Brytanii i bezprawnego zagarnięcia przez nią Egiptu. Pan Belmont — szary jak żelazo, tęgi Irlandczyk był sławny ze swej niebywałej zręczności w strzelaniu na wielką odległość. Wziął prawie wszystkie nagrody, jakie ofiarowały Wimbledon albo Bisley. Towarzyszyła mu żona, urocza, subtelna kobieta, pełna życia i wesołości, znamiennej dla jej ojczyzny. Pani Schlesinger była wdową, osobą w średnim wieku, spokojną i łagodną; wszystkie jej myśli pochłaniał sześciolatek synek, jak to zwykle bywa z matkami na okrętach, gdzie jedynie poręcz jest ogrodzeniem. Ksiądz John Stuart był duchownym sekty niekonformistów z Birmingham, ani prezbiterianin, ani kongregacjonista, człowiek niesłychanej tuszy, powolny i ospały w ruchach, ale obdarzony dużą dozą wrodzonego humoru, który, jak powiadają, czynił go ulubionym kaznodzieją i wpływowym mówcą w kołach radykalnie postępowych. Wreszcie znajdował się w towarzystwie pan James Stephens, adwokat z Manchesteru (najmłodszy w spółce Hickson, Ward i Stephens). Podróżował, aby pozbyć się resztek influency. Stephens był to człowiek, który w przeciągu trzydziestu lat wybił się własną pracą, zaczawszy od mycia okien w kancelarii, a skończywszy na kierowaniu jej sprawami. Większą część tego długiego czasu stracił na suchej, bezdusznej robocie, żyjąc tylko jedną myślą:

aby zadowolić dawnych klientów i zdobyć nowych, aż wreszcie on sam i jego umysł stał się równie dokładny i pełen formalistyki jak prawa, które wykładał. Natura delikatna, uczuciowa była bliska spaczenia — zjawisko częste u ludzi, którzy prowadzą interesy w wielkich miastach. Praca stała się dla niego nawykiem, a ponieważ był kawalerem i nie miał w życiu nic, co by go od niej odwodziło, dusza jego stopniowo odgradziła się od świata, jak ciało średniowiecznego mnicha. Aż przyszła choroba. Natura wyrzuciła Jamesa Stephensa z nory i wysłała go w szeroki świat, daleko od ryczącego Manchesteru i półek pełnych oprawnych w cieliące skóry tomów. Na razie czuł się bardzo nieszczęśliwy, wszystko wydawało mu się przyziemne w zestawieniu z jego własnym, nędznym kieratem. Ale powoli oczy jego otwierały się i zaczynał rozumieć, że to właśnie jego praca była przyziemna w porównaniu z tym cudownym, wielokształtnym, niepojętym światem, którego on tak zupełnie nie znał. Niejasno zdawał sobie sprawę, że przerwa w karierze może być dla niego ważniejsza niż sama kariera. W duszy jego obudził się cały szereg nowych zainteresowań, i oto ten prawnik, człowiek już w sile wieku, przeżywał gasnącą jasność zamawianej wśród ksiązek młodości. Miał już zbyt wyrobiony charakter, aby z jego zachowania dała się usunąć pewna suchość i systematyczność, a ze sposobu mówienia pedantyczna dokładność, ale czytał, myślał i obserwował, zasmarowując swego Baedeckera podkreśleniami i uwagami, tak jak swego czasu *Komentarze Prideaux*. Od Kairu odbywał drogę razem ze znanym nam towarzystwem i zbliżył się bardzo do panny Adams i jej siostrzenicy. Młoda Amerykanka, dzięki swojej rozmowności, śmiałości i wiecznej pogodzie, bawiła go i zajmowała, a ona nawzajem czuła jakąś mieszaninę szacunku i współczucia dla jego wiedzy i dla jego braków. Zaprzyjaźnili się ze sobą i ludzie uśmiechali się, widząc pochylone nad tym samym przewodnikiem jego pochmurne czoło i jej słoneczną twarzyczkę.

Mały *Korosko* z sapaniem i hałasem płynął w górę rzeki, znacząc za sobą białą brudę na wodzie i czyniąc więcej huku i zamętu przez swoje pięć węzłów na godzinę, niż wielki okręt na Atlantyku w rekordowej jeździe. Na pokładzie pod gęstą zasłoną siedziało szczupłe grono podróżnych, które co parę godzin schodziło na brzeg, aby zwiedzić kolejną z niezliczonego szeregu świątyń. Co prawda zwałiska w miarę oddalania się od Kairu stają się coraz późniejsze i turyści, którzy w Gizeh i Sakara napawali się widokiem najstarszych budowli, wzniesionych ręką człowieka, zaczynają się niecierpliwie, napotykając świątynie mało co starsze od ery chrześcijańskiej.

Ruiny, które wzbudziłyby podziw w każdym innym kraju, zaledwie zwracają uwagę w Egipcie.

Podróżni obejrzeni z niewielkim zainteresowaniem półgrecką sztukę w płaskorzeźbach nubijskich, wdrapali się na wzgórze Korosko, aby zobaczyć wschód słońca nad dziką pustynią wschodnią, zachwycili się wielkim ołtarzem Abu Simbel, gdzie jakieś starożytne plemię wydrążyło górę, jak gdyby to był ser, wreszcie pod wieczór czwartego dnia wyprawy przybyli do Wady Halfa, granicznego i obsadzonego wojskiem miasta, w którym znaleźli się o parę godzin później niż należało z powodu nieznacznego uszkodzenia maszyny.

Następny ranek był przeznaczony na wyprawę do słynnej skały Abusir ze wspaniałym widokiem na drugą kataraktę. O pół do dziewiątej, kiedy podróżni odbywali poobiednią sjęstę na pokładzie, Manzor—dragoman, pół Kopt, pół Syryjczyk — zgodnie z programem wieczornym stanął przed nimi, aby zapowiedzieć porządek następnego dnia:

— Panie i panowie — zaczął, dając odważnie nurka w szybki strumień swojej łamanej angielszczyzny — jutro niech państwo nie zapomną wstać jak tylko gong się odezwie, żebyśmy zdążyli z wyprawą do godziny dwunastej. Przybywszy do miejsca, gdzie będą nas oczekiwały osły, przejedziemy pięć mil pustynią, mijając świątynię Ammon—ra, pochodzącą z czasów

osiemnastej dynastii i dojedziemy do sławnej skały pulpitowej Abusir. Skała pulpitowa prawdopodobnie dlatego tak się nazywa, ponieważ jest to skała podobna do pulpitu.

Znalazłszy się tam, poczujecie państwo, żeście się znaleźli na ostatnim cyplu cywilizacji; jeszcze trochę dalej, a traficie do kraju derwiszów, który będzie dla was widoczny ze szczytu. Minawszy wierzchołek zobaczycie koniec drugiej katarakty. Krajobraz pełen grozy, uroku i przerażającego zróżnicowania. Wszyscy wielcy ludzie ryli na tej skale swoje nazwiska, więc i wy wasze wryjecie. — Manzor zatrzymał się, czekając na uśmiech słuchaczy i gdy go ujrzał, uklonił się. — Wróćcie wtedy do Wady Halfa i zabawcie tam dwie godziny, aby przyjrzeć się Korpusowi Wielbłądziemu, włączając w to oporządzenie zwierząt i bazar przed powrotem. Teraz życzę państwu szczęśliwej nocy.

Błysnął w świetle lampy białymi zębami, po czym jego długa ciemna spódnica, krótka angielska marynarka i czerwony fez, zniknęły kolejno na schodkach. Szmer rozmów, przerwany przez jego nadejście, podniósł się na nowo.

— Liczę na pana, że mi pan opowie wszystko o Abusir — mówiła do pana Stephensa panna Sadie Adams. — Lubię o tym, co oglądam, wiedzieć co trzeba we właściwej porze, a nie o sześć godzin za późno, w mojej kajucie. Nie udało mi się w Abu Simbel i malowideł na murze jeszcze teraz nie mam w głowie, chociaż widziałam je wczoraj.

— Nie wierzę, abym kiedykolwiek uporała się z tym — mówiła jej ciotka. — Kiedy wrócę szczęśliwie na Commonwealth Avenue i już nie będzie mnie poszturchiwał żaden dragoman, będę miała czas czytać o tym wszystkim i wierzę, że wtedy zacznę się entuzjasmować i marzyć aby jeszcze raz tu przyjechać.

— Przypuszczałem, że panie będą chciały mieć ściśle wiadomości i przygotowałem małą rozprawkę na ten temat — odpowiedział Stephens, wręczając zwitek papieru pannie Sadie. Spojrzała nań przy świetle lampy okrętowej i wybuchnęła swoim cienkim serdecznym śmiechem:

— *Re Abusir* — czytała. — Co pan rozumie przez to *re*? Na ostatniej kartce, jaką pan mi dał, napisał pan *Re Ramzes Drugi*.

— To zwyczaj, jakiego nabyłem, panno Sadie — odparł Stephens. Tak piszemy w praktyce prawniczej, kiedy przygotowujemy *memo*.

— Co przygotowujecie?

— *Memo* — memorandum, rozumie pani? Piszemy *re*, to znaczy: w takiej to, a takiej sprawie, aby wiedzieć, o co rzecz idzie!

— Przypuszczam, że to jest bardzo wygodny sposób — odrzekła panna Sadie — ale brzmi trochę komicznie na tle zmarłych królów egipskich. *Re Cheops* czy pan nie czuje, że to ucieszne?

— Według mnie nie — rzekł Stephens.

— Nie wiem, czy to prawda, że Anglicy mają mniej humoru od Amerykanów, czy tylko jest to humor innego rodzaju — mówiła Sadie. Miała spokojną, równą dykcję, jak gdyby myślała na głos. — Ja sądziłam, że posiadają go mniej, a jednak kiedy się zastanowimy: Dickens, Thackeray i Barrie, i tylu innych, najbardziej podziwianych pisarzy humorystów byli z pochodzenia Brytyjczykami. Z drugiej strony w życiu swoim nie słyszałam ludzi śmiejących się w tak przykry sposób, jak w Londynie w teatrze. Za nami siedział jakiś jegomość, a ile razy zaczynał się śmiać, ciocia oglądała się, czy się któreś drzwi przypadkiem nie otworzyły, taki był przeciąg. Ale pan ma zabawne wyrażenia, proszę pana.

— Co jeszcze wydaje się pani zabawne, panno Sadie?

— Wczoraj, kiedy mi pan przysłał bilet do świątyni i mały planik, zaczął pan list: *Wewnątrz znajduje się...*, a potem na dole w nawiasie dodał pan: *dwa załączniki*.

— To zwykły styl w korespondencji urzędowej.

— Tak w urzędowej... — podchwyciła Sadie i rozmowa urwała się.

— Chciałabym jednej rzeczy — zauważyła panna Adams, twardym, skrzypliwym głosem, którym pokrywała wrodzoną miękkość serca — zobaczyć legislaturę tego kraju i pokazać tym ludziom kilka na zimno wybranych faktów. Stworzyłabym własną platformę polityczną... stronnictwo według moich przekonań. Jedną z wydanych tablic byłoby prawo zmuszające do mycia oczu, drugą zniesienie *jaszmaków*, zasłon, które zmieniają kobietę w tłumok wełniany, z wyglądającą z niego parą oczu.

— Nigdy nie mogłam się domyśleć dlaczego je noszą — wtrąciła Sadie — aż jednego dnia zobaczyłam którąś z podniesionym welonem — wtedy zrozumiałam.

— Męczą mnie te kobiety — krzyknęła gniewnie panna Adams. — Z równym skutkiem można by prawić o obowiązku, o przyzwoitości i o czystości przed rządem materaców. Co za kraj! Nie dalej jak wczoraj w Abu Simbel przechodziłam koło jednego z ich domostw, jeżeli można nazwać domostwem te lepianki z błota i zobaczyłam na progu dwoje dzieci z oczyma jak zwykle oblepionymi przez muchy i z wielkimi dziurami w biednych niebieskich sukienkach.

Odwinęłam rękawy, chusteczką umyłam im twarze, pozaszywałam dziury, bo w tym kraju tak samo jest nie do pomyślenia, żeby zejść na brzeg bez przyborów do szycia, jak bez białej parasolki. Zapaliłam się do tej roboty, weszłam do mieszkania, co za mieszkanie! Wyprosiłam ludzi ze środka i zabrałam się do porządków, jakbym była najętą posługaczką. Ze świątyni Abu Simbel widziałam akurat tyle, jak gdybym się nie była ruszyła z Bostonu, ale dalibóg, widziałam więcej śmieci i kurzu, niżby pan przypuszczał, że w ogóle może się zmieścić w domu wielkości kabiny w Newport. Od chwili kiedy zakasałam spódnice do roboty, do momentu kiedy wyszłam na zewnątrz z twarzą koloru tej popielniczki, upłynęła może godzina, może półtorej, ale domek zrobił się czystutki i milutki, jak pudełeczko. Miałam z sobą *New York Herald* i wyłożyłam nim półki tym ludziom. Otóż, proszę pana, poszłam tylko na chwilę umyć ręce na podwórzu, a kiedy znowu przechodziłam przed drzwiami, tych samych dwoje dzieci siedziało znowu na progu z oczyma oblepionymi przez muchy, zupełnie tak jak przedtem, z tą jedynie różnicą, że każde z nich miało na głowie papierowy kapelusz, zrobiony z *New York Herald*. Ale słuchaj, Sadie, dziesiąta dochodzi, a jutro trzeba rano wstać.

— Kiedy takie cudowne jest to czerwone niebo i te wielkie srebrne gwiazdy — wymawiała się Sadie. — Spójrzcie państwo na milczącą pustynię i czarne cienie pagórków. Podniosłe to, ale i straszne zarazem, a kiedy jeszcze pomyśleć, że naprawdę, jak powiedział dragoman, jesteśmy na samym krańcu cywilizacji, a tam, gdzie tak ślicznie świeci Krzyż Południa, czyha na nas dzicz i rozlew krwi, mam wrażenie, jakbyśmy stali na krawędzi rozżarzonego wulkanu.

— Cicho, Sadie, nie mów tak, dziecko — przerwała rozdrażniona ciotka. — Już słuchanie takich rzeczy wystarczy, aby napędzić strachu.

— Ale czy sama tego nie czujesz, ciociu? Popatrz na tę pustynię, biegnącą daleko, daleko, aż do zatracenia w mrokach. Posłuchaj jak wiatr nad nią szeptce. Nie widziałam w życiu nic bardziej podniosłego.

— Bardzo się cieszę, kochanie, iż znalazło się coś, co cię tak nastraja — odpowiedziała ciotka. — Myślałam czasem... Boże święty! Co to?

Gdzieś spomiędzy cieniów pagórków, na brzegu rzeki, zerwał się ostry, chrapliwy jęk, rósł i nabrzmiwał, aż skończył w żalonym, przeciągłym kwileniu.

— To tylko szakał, proszę pani — uspokajał Stephens. — Słyszałem już kiedyś coś podobnego, kiedy się wybrałem na oglądanie Sfinksa przy księżycu.

Ale Amerykanka wstała, a z twarzy jej znać było, że wszystkie nerwy u niej grają.

— Gdybym była w stanie cofnąć to, co się stało, nigdy bym się nie ruszyła krokiem za Assuan — rzekła. — Nie rozumiem sama co mi się stało, że mogłam cię aż tu zawlec, Sadie. Twoja matka pomyśli, że zwariowałam, i jeśliby coś złego miało się nam przytrafić, nie śmiałybym jej

spojrzeć w oczy. Widziałam już wszystko, co chciałam widzieć na tej rzece i jednego teraz tylko pragnę: być z powrotem w Kairze.

— Dlaczego ciociu? — krzyknęła Sadie. — Ta tchórzliwość wcale do ciebie nie pasuje.

— Nie wiem co to jest Sadie, ale jestem trochę zdenerwowana. Jeszcze ta bestia miaucząca — to już więcej, niż mogę wytrzymać. Jedna jest pociecha, że jutro zaczynamy odwrót, jeszcze tylko ta ostatnia skała, czy świątynia, czy co to tam jest. Wie pan, mam powyżej uszu skał i świątyń. Nie będę płakała, jeżeli już żadnej nigdy nie zobaczę. Choć Sadie, dobranoc.

— Dobranoc. Dobranoc paniom. — Ciotka i siostrzenica zeszły do kajuty.

Pan Fardet rozmawiał półgłosem z Headinglym, młodym absolwentem uniwersytetu w Harvard, pochylony wśród kłębow dymu papierosa.

— Derwisze, proszę pana! — mówił wyborną angielszczyzną, ale oddzielając od siebie zgłoski, jak to czynią Francuzi. — Nie ma derwiszów. Nie istnieją.

— Jak to? Sądziłem, że moc ich jest po lasach.

Pan Fardet spojrział przelotnie na czerwony ognek cygara pułkownika Cochrane'a, świecący w ciemności.

— Pan jest Amerykaninem i nie lubi pan Anglików — szeptał. — My na kontynencie doskonale rozumiemy, że istnieje antagonizm pomiędzy Ameryką a Anglikami.

— Tak jest — zaczął Headingly, jak zwykle powolnie i z rozwagą — nie mogę zaprzeczyć, że sporo między nami niechęci i że nie brak u nas ludzi — zwłaszcza, o ile są z pochodzenia Irlandczykami — którzy są nieuleczalnie chorzy na punkcie Anglii, większość jednak jest przychylna dawnej ojczyźnie. Widzi pan, oni mogą być czasem dokuczliwi jako naród, ale koniec końców to nasza rasa i o tym zapomnieć nie możemy.

— *Eh bien* — mówił Francuz — w każdym razie mogę powiedzieć panu to, czego bez obrazy nie mógłbym powiedzieć tamtym. A powtarzam, że derwiszów nie ma. Wymyślił ich lord Cromer w 1885 roku.

— Co też pan mówi! — krzyknął Headingly.

— Znana to rzecz w Paryżu. Pisała o tym *Patrie* i inne dobrze poinformowane dzienniki.

— Niebawem rzeczy! — dziwił się Headingly. — Więc pan chce mnie przekonać, że oblężenie Chartumu, albo śmierć Gordona i innych to był wielki *bluff*?

— Nie przeczę, że były rozruchy, ale miały charakter lokalny, rozumie pan? I dawno już poszły w zapomnienie. Od tej pory w Sudanie panuje bezwzględny spokój.

— A jednak, proszę pana, słyszałem o napadach, czytałem o bitwach, w których Arabowie chcieli opanować Egipt. Nie dawniej jak dwa dni temu przejeżdżaliśmy przez Toski, gdzie jak mówił dragoman, była kiedyś bitwa. Czy i to jest *bluff*?

— Ha, nie zna pan Anglików, drogi panie. Bierze ich pan tak, jak pan ich widzi, z fajką w ustach, z pogodną twarzą i myśli pan, że to dobrzy, prości ludzie, którzy nigdy nikogo nie skrzywdzą. A oni tymczasem bezustannie myślą, czuwają i kombinują. Egipt jest słaby — wołają — *Allons!* i spadają jak mewa na okruchy. „Nie macie prawa tu wchodzić — mówi świat — wyjdźcie”. Ale Anglia zaczęła już wszędzie robić porządki, jak poczciwa panna Adams, kiedy wdziera się do domu Arabów. „Wyjdźcie” — powiada świat. „Wyjdziemy — mówią Anglicy — poczekajcie chwilę tylko, uporządkujemy wszystko i oczyścimy”. Świat czeka rok, czy więcej, po czym powtarza znowu: „Wyjdźcie!” „Wyjdziemy — twierdzi Anglia — w Chartumie są zamieszki, kiedy je uspokoje, wyjdziemy z rozkoszą”. I znowu czekamy, aż wszystko się ułoży i znowu upominamy: „Wyjdź!” „Jakże mogę wyjść — mówi Anglia — ciągle są jeszcze napady i bitwy. Jeżeli się usuniemy, Egipt będzie zgubiony”. „Ale przecież nie ma żadnych napadów” — powiada świat. „Jak to nie ma?” — pyta Anglia i wtedy na pewno najdalej po tygodniu, pisma pełne będą nowych napadów derwiszów. Mój panie, nie jesteśmy wszyscy ślepi, rozumiemy

doskonale, jak się takie rzeczy urządza. Kilku beduinów, trochę kubanów, parę ślepych nabojów i jest napad.

— Tak, tak — mówił Amerykanin — rad jestem, że dowiedziałem się prawdy w sprawie, która często mnie niepokoiła. Ale właściwie, co Anglia na tym zyska?

— Zyska kraj, proszę pana.

— Rozumiem. Pan przypuszcza, dajmy na to, że tu jest korzystna taryfa na towary angielskie?

— Nie, panie, ta jest wszędzie jednakowa.

— A zatem. Układ z Wielką Brytanią?

— Otóż to właśnie.

— Czy na przykład linia kolejowa, którą budują przez sam środek kraju, ta co biegnie brzegiem rzeki, będzie korzystnym układem dla Anglików?

Pan Fardet był człowiekiem uczciwym, chociaż dawał się ponosić fantazji.

— Budowę kolei, proszę pana, prowadzi towarzystwo francuskie.

Amerykanin nie wiedział już co myśleć.

— Jak się zdaje, nie bogatą mają zapłatę za swoje trudy — zawyrokował. — Swoją drogą musi tu istnieć jakieś choćby pośrednie zagrożenie. Samo to, że Egipt zmuszony jest opłacać i utrzymywać tych żołnierzy w Kairze.

— Egipt! Nie, panie, to Anglia ich opłaca.

— Ha, sami muszą najlepiej znać swój interes. Ale zdaje mi się, że wzięli na siebie ogromne kłopoty, w zamian zyskując bardzo niewiele. Zresztą, jeżeli dobrowolnie podjęli się utrzymania porządku i obrony granic pod groźbą ciągłej wojny z derwiszami, nie wiem co mógłby ktoś mieć przeciwko temu. Nie można chyba zaprzeczyć, że od czasu ich przybycia, dobrobyt kraju niezmiernie się podniósł. Dowodem budżet. Słyszałem również, że nareszcie dzieje się sprawiedliwość biedniejszym warstwom, czego dotąd nigdy nie było.

— Ale w ogóle po co oni tu są? — krzyknął Francuz cierpko. — Niech wracają na swoją wyspę. Nie możemy przecież tolerować ich na całym świecie.

— Nam Amerykanom, którzy mieszkamy we własnym kraju, wydaje się dziwne, że narody europejskie wечно włączają na jakieś inne terytoria, które do nich nie należą. Łatwo nam zresztą o tym mówić, bo mamy jeszcze dużo miejsca, więcej niż nam potrzeba dla nas samych. Kiedy zaczniemy się tłoczyć aż po brzegi, będziemy musieli i my zacząć anektować. Ale na razie właśnie tu, w Afryce Północnej, Włochy siedzą w Abisynii, Anglia w Egipcie, Francja w Algierze.

— Francja — krzyknął pan Fardet. — Algier należy do Francji. Pan się śmieje. Mam zaszczyt życzyć panu dobrej nocy. — Wstał z fotela i zszedł do kajuty sztywny, dotknięty w swoim patriotyzmie.

ROZDZIAŁ II

Młody Amerykanin wahał się przez chwilę, czy ma zejść na dół i spisać wrażenia dnia, notował je bowiem dla siostry, która została w domu. Ale cygara pułkownika Cochrane'a i Cecila Browna migotały jeszcze w dalekim kącie pokładu, a młodzieniec rad był zasięgnąć wiadomości. Nie wiedział dokładnie jak przystąpić do rzeczy, ale pułkownik wyręczył go w tym bardzo prędko.

— Niech pan siada, prosimy — rzekł przysuwając krzesło w jego stronę. — U nas otrzyma pan odtrutkę. Widziałem, że Fardet kładł panu w uszy politykę.

— Znam to jego pochylenie ramion, kiedy poufnym tonem omawia zagadnienia światowej polityki — odezwał się wymuskany dyplomata. — Ale cóż to za świętokradztwo w taką noc jak dzisiejsza! Jakiż nokturn srebrno—błękitny mógłby podszeptać ten księżyc, wstający nad pustynią! Pamiętam ustęp, w jednej pieśni Mendelsohna, który zdaje się wyrażać to wszystko: uczucie ogromu, powtarzalność, wycie wiatru nad nieobjętą przestrzenią. Subtelniejsze wzruszenia, których słowo nie wyrazi, dają się raczej pochwycić strunom i harmonii.

— Mnie się tu dziś wydaje bardziej pierwotnie i dziko, niż kiedykolwiek — rzucił uwagę Amerykanin. — Doznaję tego samego wrażenia nieubłaganej siły, jak na Atlantyku w mroźny ciemny dzień zimowy. Może sprawia to świadomość, że znajdujemy się na samej granicy wszelkiego prawa i porządku. Jak sądzi pan, panie pułkowniku, jak daleko jesteśmy od derwiszów?

— Na arabskim brzegu — odparł pułkownik — mamy fortecę egipską w Sarras, jakieś czterdzieści mil na południe od nas. Poza nią ciągnie się przez sześćdziesiąt mil bardzo dzika okolica, a dopiero za nią znajduje się placówka derwiszów w *akasheh*. Za to po drugiej stronie nic nas od nich nie dzieli.

— Abusir jest po tej stronie?

— Tak jest. Dlatego wycieczka tam była zabroniona w zeszłym roku. Ale dziś jest spokojniej.

— Co ich powstrzymuje od podchodzenia z tej strony?

— Zupełnie nic — odpowiedział Cecil Brown swoim sennym głosem. — Nic, prócz strachu. Zbliżyć się byłoby rzeczą całkiem prostą. Trudność leżałaby w odwrocie. Nie łatwo by im przyszło wycofać się gdyby ich wielbłądy się pomęczyły, a załoga Wady Halfa puściła się za nimi w pogoń na wypoczętych zwierzętach. Rozumieją to tak dobrze, jak i my i dlatego nie próbują.

— Niezbyt to pewne liczyć na strach derwiszów — zauważył Brown. — Musimy uświadomić sobie, że nie kierują się oni tymi samymi pobudkami, co inni ludzie. Wielu z nich lęka się śmierci, ale wszyscy bezwzględnie i niezachwianie wierzą w przeznaczenie. Są oni *reductio ad absurdum* wszelkiej bigoterii — dowodem, jak ona nieomylnie prowadzi do zupełnego barbarzyństwa.

— Czy pan sądzi, że oni są naprawdę niebezpieczni dla Egiptu? — pytał Amerykanin. — O ile słyszałem, panują w tej sprawie różne przekonania. Pan Fardet, na przykład, nie zdaje się mniemać, jakoby groźba była poważna.

— Nie jestem człowiekiem bogatym — odpowiedział pułkownik po krótkim milczeniu — ale gotów jestem ręczyć wszystkim, co posiadam, że w razie wycofania się wojsk angielskich, derwisze za trzy lata znajdą się nad Morzem Śródziemnym. Co w takim wypadku stałoby się z cywilizacją, co z setkami milionów, które włożono w ten kraj? Jaki los czekałby pomniki, na które cała ludzkość patrzy jak na najświetniejsze pamiątki przeszłości?

— Panie pułkowniku — zawołał Headingly ze śmiechem — przecież pan chyba nie przypuszcza, że ruszyliby z posad piramidy?

— Nie może pan przewidzieć, co by zrobili. Nie ma na świecie obrazoburców równych sfanatyzowanym mahometanom. Kiedy ostatni raz zalali ten kraj spalili bibliotekę aleksandryjską. Pan wie, że odtwarzanie ludzkiego oblicza sprzeciwia się literze Koranu. Posąg jest zawsze w ich oczach czymś bezbożnym. Co tych ludzi obchodzą uczucia Europy? Im bardziej zdołają je urazić, tym będą szczęśliwsi. Znikłyby sfinksy, kolosy, posągi w Abu Simbel, jak w Anglii zniknęli święci pod ciosami żołnierzy Cromwella.

— Przypuśćmy teraz — zaczął Headingly, jak zawsze spokojnie i z namysłem — że derwisze mogą zalać Egipt i przypuśćmy także, że wy, Anglicy, możecie do końca stawiać im czoło, pytam, jaki cel macie kłaść w to tysiące dolarów i życie tylu waszych ludzi? Jakaż korzyść stąd wyciągniecie, większą niż Francja, Niemcy, czy inne państwa, które nie ryzykują i nie wydają grosza?

— Wielu Anglików zadaje sobie to samo pytanie — zauważył Cecil Brown. — Moim zdaniem dość długo byliśmy policjantem całego świata. Strzeżliśmy mórz przed piratami i handlarzami niewolników. Dziś strzeżemy Egiptu przed derwiszami, rozbójnikami i wszelkimi zakusami na cywilizację. Nie ma na tej planecie zwariowanych księży, szarlatanów–lekarzy, czy innego gatunku podżegaczy, którzy nie zaczęliby od skubnięcia najbliższego oficera angielskiego. Kiedyś i to się musiało ostatecznie sprzykrzyć. Jeżeli Kurdowie buntują się w Azji Mniejszej, świat zaraz pyta, dlaczego Wielka Brytania nie trzyma ich w ryzach. Jeżeli wybucha rokosz w Egipcie, czy w Judei, czy w Sudanie, to zawsze Wielka Brytania ma go uśmierzać. A wszystko przy akompaniamencie złorzeczeń, jakie słyszy policjant, kiedy dostanie w ręce opryszka. Zbieramy twarde razy, ale żadnej wdzięczności, więc po co to robić? Niech Europa sama pierze swoje brudy.

— Niezupełnie zgadzam się z panem — odezwał się pułkownik, zakładając nogę na nogę i pochylając się naprzód zdecydowanym ruchem człowieka, który ma jasno określony pogląd — i sędzę, że obrona takiego stanowiska, oznacza bardzo ciasne wyobrażenie o naszych narodowych obowiązkach. Według mnie poza interesami państwowymi, dyplomacją itd. istnieje jakaś wielka siła kierownicza — Opatrzność — i Ona to w rzeczy samej wydobywa na jaw to, co tkwi najlepszego w każdym narodzie i zużytkowuje dla ogólnego dobra. Jeżeli jakiś naród przestaje odpowiadać swemu zadaniu, czas, aby poszedł do szpitala na parę stuleci, jak Hiszpania lub Grecja, stracił bowiem żywotność. Ludzie i narody nie przychodzą na ten świat po to tylko, aby czynić, co im jest przyjemne lub pożyteczne. Często są powołane do znoszenia rzeczy najcięższych i najmniej korzystnych, ale jeżeli tak być powinno, nie mają prawa się wyłamywać.

Headingly potakiwał głową twierdząco.

— Każdy naród ma swoją misję. Niemcy przodują na polu abstrakcyjnej myśli, Francja — literatury, sztuki i wdzięku. Ale my i wy, bo ludzie, mówiący po angielsku stanowią wspólnotę, choćby *New York Sun* jak najbardziej rzucał się przeciwko temu, my i wy w naszych najlepszych jednostkach jesteśmy nosicielami wyższych pojęć moralnych i poczucia obowiązków społecznych, niż je spotykamy u innych ludów. Otóż to są dwie zalety konieczne do kierowania słabszymi rasami. Tu nic nie znaczy abstrakcyjna myśl albo artystyczny wdźwięk, tylko to jedno poczucie moralne, które utrzymuje w równowadze szale sprawiedliwości i samo nie ulega żadnej skazie czy zepsuciu. Oto jak rządzący Indiami. Weszliśmy tam przez pewnego rodzaju prawo przyrodzone, jak np. powietrze wpływa w próżnię. Wszędzie na świecie, wbrew własnym najbliższym interesom i powziętym zamierzeniom, jesteśmy wciągani w tego rodzaju sprawy. To samo i was czeka. Nacisk przeznaczenia zmusi was do sterowania całą Ameryką od Meksyku do Hornu. Headingly świsnął.

— Nasi Jingowie cieszyliby się, słysząc pana, panie pułkowniku — rzekł. — Wybraliby pana do senatu i uczynili członkiem Komitetu Spraw Zagranicznych.

— Świat jest mały i z każdym dniem maleje. Stanowi jeden organizm i odrobina gangreny wystarczy, by zabić całość. Nie ma miejsca na nieuczciwe, gnuśne, tyrańskie, nieodpowiedzialne rządy. Póki istnieją, będą zawsze źródłem rozruchów i niebezpieczeństw, ale są liczne szczepy, jak się zdaje tak niezdolne do rozwoju, że nigdy nie można będzie liczyć na wyłonienie z nich dobrego rządu. Co zatem czynić należy? Dawniej nakazem Opatrzności było w takich razach tępienie ich przez jakiś mocniejszy szczep. Atylla czy Tamerlan obcinali słabsze gałęzie. Dzisiaj mamy bardziej miłosiernych władców choćby już tylko ze względu na wyższy poziom kultury. Weźmy choćby Chanaty w Azji Środkowej, albo Indie pod protektoratem Anglii. Jeżeli cel ten ma być spełniony, a my jesteśmy najbardziej do niego powołani, uchylenie się uważałbym za tchórzostwo i zbrodnię.

— Ale kto rozstrzyga, czy dany wypadek wymaga waszej interwencji — oponował Amerykanin. — Jakież zaborcze państwo pod tym pretekstem zagarnęłoby wszystkie inne kraje.

— Wypadki, nieubłagane, nieuniknione wypadki, one to decydują. Weźmy jako przykład to, co stało się z Egiptem. W 1881 roku nie było myśli bardziej obcej naszemu narodowi, jak wtrącanie się w sprawy egipskie, a jednak rok 1882 dał nam ten kraj w posiadanie. Nie było wyboru w łańcuchu wydarzeń. Rzeź na ulicach Aleksandrii i ruch zbrojny w celu wypędzenia naszej floty — która stała tu, rozumie pan, wierna uroczystym zobowiązaniom traktatowym — doprowadziły do bombardowania. Bombardowanie pociągnęło za sobą wysadzenie wojsk na ląd dla obrony miasta przed zniszczeniem. Wysadzenie wojsk spowodowało rozszerzenie operacji i tak jesteśmy tutaj i mamy kraj w ręku. W czasie rozruchów prosiliśmy i błagaliśmy Francję i inne państwa o pomoc w przywracaniu ładu, ale wszyscy opuścili nas, gdy trzeba było pracować, chociaż dzisiaj gotowi są nam przeszkadzać i dawać lekcje. Kiedy chcieliśmy się wycofać z tej awantury, przyszedł ów dziki ruch derwiszów i zmuszeni byliśmy wejść głębiej niż dotąd. Nigdy nam cała ta sprawa nie była do czegokolwiek potrzebna, ale skoro już to się stało, musimy załatwić ją jak sumienni pracownicy. Zaprowadziliśmy tu sprawiedliwość, porządek i uczciwość w administracji, opiekę nad biedniejszą ludnością. W ciągu ostatnich dwunastu lat widzimy większy postęp, niż od czasu najazdu muzułmanów w siódmym wieku. Z wyjątkiem paruset ludzi, którzy zainwestowali tu swój kapitał, Anglia pośrednio, ani bezpośrednio, nie wyciągnęła stąd grosza i nie przypuszczam, aby pan znalazł w historii przykład szczęśliwszego i bardziej bezinteresownego postępowania.

Headingly puszczał w zamyśleniu dym z papierosa.

— Koło nas jest dom nad Zatoką Backa w Bostonie, który zasłania nam cały widok — odezwał się. — Stare krzesła sterczą kulawe na werandzie, gonty podpadały, a ogród zarasta chwastami, jednak nie wiem, czy sąsiedzi postąpiliby właściwie, wpadając tam i gospodarując jak u siebie.

— Nawet gdyby się paliło? — zapytał pułkownik.

Headingly roześmiał się i wstał z fotela.

— Nie ma obawy, panie pułkowniku, wobec przewidywań doktryny Monrogo — odpowiedział. — Dochodzę do wniosku, że Egipt współczesny jest równie ciekawy, jak starożytny i że Ramzes Drugi nie był ostatnim żywym człowiekiem w tym kraju.

Obaj Anglicy podnieśli się, ziewając.

— Tak, jest to kapryśny wyskok losu, który zesłał mieszkańców małej wyspy na Atlantyku do rządu państwem Faraonów — rzucił Cecil Brown. — Przeminiemy także i my i nie zostawimy śladu obok tyłu plemion, które tu władały, bo Anglosasi nie mają zwyczaju ryć swych czynów po skałach. Śmiało mogę powiedzieć, że skanalizowanie Kairu będzie najtrwalszą po nas

pamiętką, o ile za parę tysięcy lat nie spróbują ludzie dowieść, że to było dzieło królów Haksów. Ale oto towarzystwo z brzegu.

Z dołu dobiegał miękki irlandzki akcent pani Belmont i głos jej męża głuchy, jak strzał karabinu. Tłusty ksiądz Stuart z Birmingham targował się z krzykliwym oślarzem, a inni dorzucali swoje trzy grosze. Po czym gwar umilkł, towarzystwo z pokładu zeszło z drabinki, rozległy się pożegnania, trzaskanie drzwiami i mały stateczek pogrążył się w ciszę, mrok i bezruch w cieniu wysokiego brzegu Halfy. A poza tym jedynym punkcikiem cywilizacji i komfortu leżała bezkresna, dzika, jednostajna pustynia. Słomianej barwy, upstrzona czarnymi cieniami pagórków, w blasku księżyca robiła niesamowite wrażenie.

ROZDZIAŁ III

— Stój! Cofaj! — wołał, przekręcając wyrazy angielskie miejscowy pilot do europejskiego maszynisty.

Statek grzązał dziobem w miękkim brunatnym ile, a prąd niósł go wzdłuż wybrzeża. Spuszczono długą drabinę i sześciu rosnących żołnierzy Sudańczyków, stanowiących eskortę *Koroska*, ześlizgnęło się po niej. Ich jasnobłękitne wyszywane złotem mundury żuawów i połowe żółto—czerwone furażerki ślicznie błyszcząły w świetle poranka. Wyżej, na krawędzi wybrzeża, stały długim rzędem osły i powietrze pełne było krzyków poganiaczy. Każdy z nich ostrym, przenikliwym głosem wyносił zalety swojego zwierzęcia, ganiąc przywary pozostałych.

Pułkownik Cochrane i pan Belmont rozmawiali na przodzie statku, obaj w ogromnych kapeluszach wycieczkowych z białymi welonami. Panna Adams z siostrzenicą stały opodal, oparte o poręcz.

— Żałuję bardzo, że żona pańska z nami nie jedzie — mówił pułkownik do Belmonta.

— Zdaje mi się, że musiała dostać wczoraj porażenia słonecznego. Ma silny ból głowy.

Głos jego był tak mocny i gruby, jak on sam.

— Chętnie zostałabym przy niej — wmieszała się malutka stara panna z Bostonu — ale słyszę, że pani Schlesinger obawia się długiej jazdy konno i że ma jakieś listy, które musi dziś jeszcze wysłać, więc żona pana nie będzie sama.

— Bardzo pani dobra, doprawdy. Zresztą jak pani wie, o drugiej wszyscy będziemy z powrotem.

— Czy na pewno?

— Myślę, że kieliszek reńskiego i woda sodowa będą nam w każdym razie smakowały — odezwał się pułkownik. — Kurz pustyni nadaje smak najgorszemu winu.

— A teraz, panie i panowie — zawołał wysuwając się naprzód Manzor, dragoman, trochę podobny do księdza, dzięki rozwianej sukni i starannie wygolonej twarzy — musimy wyruszyć w porę, aby móc wrócić przed nastaniem upału. — Ojcowskim spojrzeniem potoczył po gromadce turystów.

— Niech pani weźmie zielone okulary — przestrzegł panią Adams — na pustyni jest bardzo jaskrawe światło. Dla księdza Stuarta wyszukałem pysznego osiołka, zawsze go rezerwuję dla panów o większej tuszy. Mogą państwo dziś nie brać biletów wejścia. A teraz proszę.

Jak jakiś dziwaczny korowód, towarzystwo zaczęło spuszczać się gęsiego po wąskiej drabince na ciemny osypujący się brzeg. Otwierał pochód pan Stephens, cienka, sucha poważna figurka, w angielskim słomkowym kapeluszu. Spod pachy wyzierał mu czerwony Baedeker, w ręku trzymał świstek papieru do notatek, jakby to były urzędowe dokumenty. Kiedy wdrapali się na brzeg, wziął pannę Sadie pod rękę z jednej strony, jej ciotkę z drugiej, Baedeker rozwiany potoczył się do nóg dziewczęcia, którego czysty i jasny śmiech zadzwonił w porannym powietrzu. Dalej postępowali pułkownik Cochrane i pan Belmont, brzegi ich olbrzymich kapeluszy stykały się, gdy rozprawiali o wyższości Mauserów, Lebelów czy Lee—Metfordów. Za nimi szedł Cecil Brown, ospały, cyniczny, pełen rezerwy. Ksiądz gramolił się, sapiąc, na brzeg i sypał konceptami na temat swojej ułomności.

— Należę do ludzi, którzy wszystko co mają niosą przed sobą — mówił ogarniając żalonym spojrzeniem swą okrągłość i ciesząc się zasapany, własnym dowcipem. Na samym końcu ciągnęli: Headingly, szczupły, wysoki, trochę zgarbiony od pracy przy biurku, i Fardet pocziwy, choć wiecznie gotowy do dysput i wyolbrzymiający byle gupstwo, Paryżanin.

— Widzi pan, mamy dzisiaj eskortę — szepnęła do towarzysza.

— Zauważyłem.

— Ba! — zawołał Francuz, rozkładając ręce ruchem naigrawania się. — Równie dobrze moglibyśmy jechać pod eskortą z Paryża do Wersalu. Wszystko to jest potrzebne tylko dla pozorów proszę pana, choć nikogo to i tak nie oszuka. *Pour quoi ces drôles de militaires, drogman, hein?*

Rola dragomana wymagała, aby umieć każdemu odpowiedzieć na wszystkie pytania. Rozejrzał się przezornie dokoła, dla upewnienia się, że nikt z Anglików nie usłyszy.

— *C'est ridicule, monsieur* — rzekł wzruszając ramionami. — *Mais que voulez vous? C'est l'ordre officiel egyptien.*

— *Egyptien! Pah! anglais, anglais toujours anglais* — wykrzykiwał gniewnie Francuz.

Korowód stał się teraz jeszcze bardziej dziwaczny, przedzierzgnął się bowiem od razu w orszak jeźdźców, ostro zarysowany na tle ciemnego błękitu egipskiego. Ludzie, którzy nigdy w życiu nie jeździli konno, muszą tu w Egipcie próbować swoich sił, a kiedy osły puszczą się klusem, powstaje jedyny w swoim rodzaju widok: rozwiane welony, zaciśnięte kurczowo ręce, zwinięte w kabłąk, podskakujące postaci i pełne przerażenia twarze. Belmont chwiejąc się swym czworograniastym kadłubem na małym białym osiołku, wymachiwał chustką żonie, która wyszła na salonowy pokład *Koroska*. Cochrane jechał sztywny, po wojskowemu, z rękoma opuszczonymi, a z podniesioną głową, z piętami w dół. Jadący przy nim młody oksfordczyk, przypatrywał mu się spod ciężkich powiek, jak gdyby pustynię uważał za niegodną uwagi i miał pewne wątpliwości co do stroju wszechświata. Reszta towarzystwa ciągnęła wzdłuż wybrzeża, każdy inaczej trzęsiony, a za każdym osłem biegł opalony, hałaśliwy poganiacz. Oglądając się, mogli jeszcze dostrzec mały, ołowianego koloru parowczyk i powiewającą na pokładzie chusteczkę pani Belmont. Obok nich płynęła szeroka, płowa rzeka, wijąc się w długich skrętach. Pięć mil za nimi sześcienné białe domki na tle czarnych skał, znaczyły pierwsze podmiejskie zabudowania Wady Halfa, skąd wyruszyli dziś rano.

— Boże mój, jak tu jest cudownie — wykrzykiwała radośnie Sadie. — Mój osiołek biegnie truchcikiem, a siodło mam po prostu eleganckie. Czy widział pan kiedy coś równie milutkiego, jak te paciorki i ozdoby na jego szyi? Musi pan napisać *memo*, re osioł. Czy to nie jest najpoprawniejszy angielski styl prawniczy?

Stephens spojrział na śliczną, rozbawioną, trochę chłopięcą twarzyczkę, pod kokieterijnym słomkowym kapelusikiem i chęć go wzięła odpowiedzieć jej, jej własnym stylem, że jest najcudowniejsza ze wszystkich. Ale drżał na myśl, że może ją obrazić, a tym samym położyć kres ich miłym, swobodnym stosunkom. Komplement jego rozplynął się w uśmiech.

— Bije od pani szczęście.

— A kto mógłby nie czuć się szczęśliwy w tym jasnym, czystym powietrzu, pod tym błękitnym niebem, wśród sypkich złotych piasków i na grzbiecie milutkiego osiołka? Mam wszystko, co mi potrzebne do szczęścia.

— Wszystko?

— Wszystko, czego pragnę w tej chwili.

— Myślę, że pani nigdy nie zaznała, co znaczy smutek.

— O! Kiedy się czuję naprawdę nieszczęśliwa, nie potrafię

tego wyrazić. W kolegium Smitha siadywałam po całych dniach i płakałam, a inne dziewczynki wprost wariowały, żeby się dowiedzieć, co mi jest i dlaczego im nic nie mówię, a ja naprawdę sama właściwej przyczyny nie znałam. Pan wie, jak to bywa, kiedy ogarnie człowieka smutek jakiś wielki nie wiadomo dlaczego, ale musimy mu ulec i wtedy czujemy się nieszczęśliwi.

— Jednak prawdziwego powodu nigdy pani nie miała?

— Nie, proszę pana. Całe życie tak mi się dotąd układało, że patrząc wstecz, nie wiem, czy miałam kiedykolwiek powód do rzeczywistego zmartwienia.

— Życzę pani, panno Sadie, z całego serca, żeby pani mogła to samo powiedzieć, kiedy będzie w wieku swojej cioci. Zdaje się, że nas właśnie woła.

— Panie Stephens, niech pan da batem mojemu chłopakowi, jeżeli jeszcze raz dotknie osła — wołała panna Adams, kiwając się na wysokim chuderlawym wierzchowcu. — Hej, Manzor, proszę powiedzieć temu smarkaczowi, że nie znoszę pastwienia się nad zwierzętami, że powinien się wstydzić. Tak, jesteś mały łotr, słyszysz! Wyszczera na mnie zęby, jak na jakiejś reklamie Colodentu. Jak pan myśli, panie Stephens, gdybyśmy temu czarnemu żołnierzowi zrobili parę wełnianych pończoch, czy wolno by mu było je nosić? Biedak ma bandażę na nogach.

— To są jego owijacze, proszę pani — wmieszał się pułkownik Cochrane, obracając się ku mówiącej. — Zauważyliśmy w Indiach, że jest to najlepsze zabezpieczenie nóg w czasie pochodów. O wiele praktyczniejsze od pończoch.

— Co też pan mówi! Przypomina mi zupełnie nogi chorego konia. Ale to szyk mieć ze sobą żołnierzy, chociaż pan Fardet wmawia, że nie ma śladu niebezpieczeństwa.

— To jest tylko mój osobisty pogląd, proszę pani — wtrącił szybko Francuz. — Pan pułkownik Cochrane może myśli inaczej.

— Pan Fardet ma inne zdanie, niż oficerowie, którzy czują się odpowiedzialni za bezpieczeństwo granic — odparł chłodno pułkownik. — W każdym razie wszyscy zgodzimy się przynajmniej na to, że dodają nam malowniczości.

Pustynia po prawej ręce leżała w długich falach piasku, jak omiał, wygłaskany przez jakieś zapomniane, pierwotne morze. Z grzbietu takiej fali roztaczał się widok na strome szczyty ciekawych wulkanicznych pagórków, w które obfituje brzeg libijski. Zza wydm ukazywał się raz po raz wysoki, idący szybko żołnierz w niebieskim mundurze, z karabinem w rękę. Przez chwilę smukła marsowa sylwetka rysowała się na tle nieba, potem zapadała w wąwóz i nikła, gdy tymczasem o jakieś sto jardów za nią wynurzała się następna, aby widnieć przez chwilę i przepaść.

— Skąd oni mogą pochodzić? — zapytała Sadie, przypatrując się idącym. — Z koloru są zupełnie podobni do Murzynów po hotelach w Stanach Zjednoczonych.

— Owszem, warto się nad tym zastanowić — rzekł Stephens, który nigdy nie czuł się tak szczęśliwy, jak kiedy udawało mu się uprzedzić jakieś życzenie ślicznej Amerykanki. — Zrobiłem w tej sprawie krótką notatkę dziś rano w bibliotece *Kor oska. Re...*, tj. co do czarnych żołnierzy znalazłem wiadomość, że należą do 10-go batalionu armii egipskiej. Rekrutują się pomiędzy dinkasów i szilluków, dwu szczepów murzyńskich, osiadłych na południe od kraju derwiszów, niedaleko równika.

— Więc w jaki sposób mogą przejść pomiędzy derwiszami? — spytał niespodzianie Headingly.

— Śmiem twierdzić, że pod tym względem nie ma wielkich trudności — odezwał się pan Fardet, mrugając w stronę Amerykanina.

— Starsi pochodzą z resztek dawnych czarnych batalionów. Niektórzy służyli pod Gordonem w Chartumie i mogą pokazać medale. Jest i wielu dezertów z armii Mahdiego — objaśniał pułkownik.

— Póki nie są do niczego potrzebni, wyglądają bardzo elegancko w swoich niebieskich bluzach — odezwała się panna Adams. — Ale niechby się, broń Boże, coś stało, na pewno wolelibyśmy, żeby byli mniej strojni, a za to trochę bielsi.

— Ja tam nie jestem o tym tak zupełnie przekonany — rzekł pułkownik. — Widziałem ich w bitwach i ręczę pani, że mam do nich najwyższe zaufanie.

— Polegam na pana słowach, choć sama nie wypróbowałam — odparła panna Adams tonem przeświadczenia, który wszystkich rozśmieszył.

Do tej pory droga ich biegła brzegiem rzeki, wijącej się po lewej ręce głębokim i mocnym nurtem od górnych katarakt. Tu i ówdzie znad rwących fal sterczał czarny, oślizgły złom kamienny, zbryzgany pianą. Wyżej bielila się skotłowana woda, a głązy przechodziły w urwiste opoki, zza których wychylał się dziwny, półkolisty upłaz. Bez pomocy dragomana można się było domyśleć, że to był właśnie słynny słup graniczny, do którego zdążali. Dzielił ich jeszcze od niego kawałek równej drogi i osły puściły się klusem. Dalej grunt usiany był z rzadka czarnymi skałami w pomarańczowe plamy, wśród których stały utracone pnie filarów, a odłamek rzeźbionego muru w szarości swojej i ogromie wyglądał raczej na dzieło przyrody, niż człowieka. Spocony dragoman zwlókł się z osła i czekał w swojej spódnicy i marynarce, aż całe towarzystwo nadejdzie.

— Panie i panowie — zaczął wreszcie tonem urzędnika, który przy licytacji próbuje jak najwyżej podbić cenę — świątynia ta jest wspaniałym zabytkiem z czasów osiemnastej dynastii. Mamy tu znak Totmesa Trzeciego — wskazał szpicrutą pierwotne, ale głęboko rżnięte hieroglify na murze. — Żył tysiąc sześćset lat przed Chrystusem i świątynię tę wzniesiono na pamiątkę jego zwycięskiej wyprawy do Mezopotamii. Widzimy jego dzieje od wypadków, poprzedzających jeszcze jego urodzenie, aż do dnia, kiedy powraca z jeńcami przytroczonymi do rydwanu. Macie go tu państwo w koronie Dolnego i Górnego Egiptu, jak składa ofiarę bogu Ammon-ra. Przygnał przed sobą swoich jeńców i ucina wszystkim prawą rękę. Tam w rogu zobaczycie mały stos — to same prawe ręce.

— No, przyznam się, że nie chciałabym tutaj być w owych czasach — stwierdziła panna Adams.

— Dlaczego? Przecież nic się nie zmieniło — zauważył Cecil Brown. — Wschód pozostał Wschodem. Jestem pewny, że o sto mil od tego miejsca, a może znacznie bliżej...

— Daj pan spokój — szepnął pułkownik i towarzystwo rozsypało się wzdłuż muru. Wszyscy patrzyli do góry spod wielkich, zsuniętych na tył głowy kapeluszy. Słońce za ich plecami rzucało miedziany poblask na szarą budowlę i malowało na niej ostre cienie ich postaci, zlewając je z ponurymi wojownikami o prostych nosach i czworokątnych ramionach, ze sztywnymi postaciami bóstw, które zamykały scenę. Potężny cień księdza Johna Stuarta z Birmingham pokrywał obu razem: pogańskiego władcę i boga, któremu on cześć oddawał.

— A to co takiego? — zapytał kapłan zasapanym głosem, pokazując coś żółtą laską z Assuanu.

— Hipopotam — odrzekł dragoman, a wszyscy turyści uśmiechnęli się, bo rzeźba miała pewne podobieństwo do samego księdza Stuarta.

— Ależ on nie jest większy od prosiaka — protestował duchowny. — Widzicie, że król bez trudu przebija go włócznią.

— Przedstawiono go jako tak małego dlatego, że dla króla był głupstwem — tłumaczył dragoman. — Państwo zauważą, że wszyscy jeńcy ledwie sięgają królowi do kolan. A to nie dlatego, że był o tyle wyższy wzrostem, ale że był o wiele potężniejszy. Widzicie, iż przerasta swego wierzchowca, ponieważ jest królem, a koń jest tylko koniem. Tak samo i te malutkie kobiety, które państwo dostrzegają tu i ówdzie, to jego pospolite, małe żony.

— Ale za to — krzyknęła z oburzeniem panna Adams — gdyby kto wyrzeźbił duszę tego króla, trzeba byłoby patrzeć na nią przez szkło powiększające. Jakże mógł pozwolić w ten sposób przedstawić swoje żony?

— Gdyby dziś tak zrobił, proszę pani — odezwał się Francuz — musiałby srożej walczyć, niż wtedy w Mezopotamii. Czas przyniósł odwet. Może bliski już jest dzień, w którym będziemy oglądali wizerunki wielkiej potężnej żony i pospolitego, małego męża, *Hein?*

Cecil Brown i Headingly odłączyli się tymczasem, bo zdawkowe komentarze dragomana i pusta gadanina turystów psuły im cały nastrój. Obserwowali w milczeniu, jak zabawna gromadka w kolosalnych kapeluszach i zielonych welonach posuwała się, oblana jaskrawym blaskiem, wzdłuż sędziwych murów. Nad nimi dwa czubate dudki trzepotały skrzydełkami świegocąc w rozwalonym pylonie.

— Czy to nie świętokradztwo? — przemówił nareszcie oksfordczyk.

— Cieszę się, że i pan tak to odczuwa, bo mnie to zawsze psuje krew — odparł z przejęciem Headingly. — Sam nie zdaję sobie jeszcze jasno sprawy, jak należy podchodzić do tych spraw, czy w ogóle istnieje na to jakiś sposób, ale czuję, że nie tak się to powinno odbywać. Prawdę mówiąc wolę ruiny, których nie widziałem, od tych, które znam.

Młody dyplomata błysnął swoim szczególnym ślicznym uśmiechem, który jednak zaraz zgasł w zwykły, zblazowany wyraz.

— Kupiłem sobie mapę — mówił Amerykanin — gdzieś na końcu świata, w samym sercu bezwodnej, bezdrożnej pustyni wyszukuję zaznaczone „ruiny”, albo „szczątki świątyń”. Na przykład taka świątynia Jowisza Ammona — jedna z najszacowniejszych w świecie, oddalona o setki mil. To są te opuszczone, niewidziane zwaliska, niezmiennie przez stulecia, które przemawiają do wyobraźni. Ale jeżeli pokazuję bilet przy drzwiach i wchodzę, jak na przedstawienie Barnuma, cały romantyczny urok rozwiewa się na poczekaniu.

— Słusznie — przytaknął Cecil Brown, wodząc po pustyni ciemnym, sennym okiem. — Gdyby można było przyjść tu samemu, natknąć się na ten obelisk zupełnie przypadkowo i w jego cieniu, w niezmaconej ciszy wpatrywać się w te pocieszne rzeźby, byłby człowiek zachwycony. Padłbym wtenczas na kolana w podziw i grozie. Ale kiedy Belmont kurzy swoją fajkę, Stuart sapie, a panna Sadie się śmieje...

— I ta sroka dragoman, recytuje swoją kwestię — dorzucił Headingly.

— Chciałbym się skupić, zastanowić i nigdy mi się to nie udaje. Byłem gotów zabijać, kiedy znalazłem się u stóp Wielkiej Piramidy i nie mogłem mieć ani chwili dla siebie, bo zaraz zaczęli mnie pchać na szczyt. Kopnąłem któregoś z tych ludzi tak, że jednym susem znalazł się na wierzchołku. Ale niech pan pomyśli: odbyć całą drogę z Ameryki dla obejrzenia piramid, a później nie mieć nic lepszego do roboty, jak w ich obliczu kopać Arabów.

Oksfordczyk uśmiechnął się po swojemu, uprzejmie z wyrazem znużenia. — Już idą — rzekł i obaj zeszli z drogi, aby znaleźć się na końcu zawadiackiej procesji.

Droga ich biegła teraz pośród wielkich naniesionych złomisk, między stromymi pagórkami. Zygzakowata ścieżka przeciskała się między krzesanicami, a za każdym zakrętem zamykały ją z tyłu czarne i fantastyczne wzgórza, podobne do stert żużlu przy szybie kopalni. Milczenie ogarnęło całe towarzystwo, nawet jasna twarzyczka Sadie dostroiła się do grozy przyrody. Żołnierze podeszli teraz do jeźdźców i postępowali tuż przy nich, skrzypiąc butami po spalonej ziemi. Pułkownik Cochrane i Belmont znaleźli się znowu na czele orszaku.

— Wie pan — mówił pierwszy półgłosem — może mnie pan uważać za wariata, ale nie podoba mi się to wszystko.

Belmont zaśmiał się ironicznym, urwanym śmiechem.

— Tak mogło się wydawać w salonach *Koroska*, ale teraz ma się wrażenie, że bujamy gdzieś w przestworzach — odpowiedział.. — Zresztą pan wie, że co tydzień przyjeżdża tu grupa wycieczkowiczów i nic się jeszcze nigdy złego nie przytrafiło.

— Nie mam nic przeciwko temu, aby ryzykować, jeżeli idę na wojnę — ciągnął dalej pułkownik. — Jest to wówczas prosta sprawa. Ale jeżeli chodzi o kobiety i taką bezbronną gromadkę jak nasza, rzecz przedstawia się naprawdę groźnie. Rozumie się, że szansa jest jedna na sto, ale nie mogę wprost myśleć o tym, że coś mogłoby się zdarzyć. Zdumiewające przy tym jest to ich zupełne niezdawanie sobie sprawy z jakiegokolwiek niebezpieczeństwa.

— Owszem, dosyć lubię angielską modę, o ile idzie o wycieczki — mówiła za ich plecami Sadie Adams do Stephensa. — Ale co do toalet wizytowych, uważam, że Francuzi mają lepszy gust od Anglików. Wasz krój jest prostszy i surowszy, nie ma w nim tego wdzięku w dodatkach, przybraniach, wykończeniu i tak dalej.

Pułkownik uśmiechnął się do Belmonta.

— Ona jest w każdym razie zupełnie dobrej myśli — rzekł.

— Naturalnie, tego, co mówię panu, nie powiedziałbym nikomu innemu i chcę wierzyć, że wszystko okaże się zupełnie nieuzasadnione.

— Co do mnie, mogę sobie wyobrazić czyhające bandy derwiszów — odparł Belmont — ale zupełnie nie mieści mi się w głowie, żeby mieli się znaleźć przy skale pulpitowej, akurat dzisiaj, kiedy my tu jesteśmy.

— Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że nasze przybycie było zapowiedziane, że zawsze na tydzień z góry znany jest program wycieczek i miejsce, gdzie nas można przyłapać, to nie widziałbym w tym żadnego zbiegu okoliczności.

— W każdym razie to bardzo małe prawdopodobieństwo — odparł Belmont z przekonaniem, w gruncie rzeczy jednak rad był, że żona jest bezpieczna i spokojna na statku.

Skały urwały się i nasza gromadka wypłynęła znowu na otwartą przestrzeń żółtych, zbitych piasków, które dochodziły aż do samych stóp zagrządzającej drogę stożkowej góry. *Ay-ah! Ay-ah!* — wrzeszczeli poganiacze, okładając kijami boki osłów, które porwały się galopem przez kawałek równej drogi. Dopiero, gdy znaleźli się u ujścia ścieżki, biegnącej zakosami pod górę, dragoman dał znak, aby się zatrzymać.

— Teraz, panie i panowie, jesteśmy przy pulpitowej skale Abusir. Za chwilę ze szczytu ucieszycie oczy niezwykłą panoramą. Ale wpierw zechciejcie zauważyć, że cały skalisty stok góry pokryty jest imionami wielkich ludzi, którzy w wędrówkach swoich tędy przechodzili, a niektóre z tych imion są starsze od ery chrześcijańskiej.

— Czy jest i Mojżesz? — zapytała panna Adams.

— Ciociu... co też ciocia opowiada — krzyknęła Sadie.

— Moje dziecko, był w Egipcie, był wielkim człowiekiem, mógł tędy przechodzić.

— Bardzo możliwe, że Mojżesz był tu zapisany, tak jak i Herodot — rozstrzygnął z powagą dragoman. — Ale obaj dawno się już zatarli. Za to mogą państwo widzieć na skale Belzoniego. Wyżej jest Gordon. Nie ma prawie sławnego nazwiska w Sudanie, którego byście tu nie znaleźli. A teraz, za pozwoleniem państwa, pożegnamy nasze osiołki i pójdziemy tą ścieżką, a ze szczytu przypatrzycie się rzece i pustyni.

Po dwu czy trzech minutach wspinania znaleźli się na świątym półkolistym wierzchołku. Pod nimi, nieco dalej, sterczała czarna prostopadła ściana, wysoka na sto pięćdziesiąt stóp, wrośnięta w huczącą, pręgowaną pianami rzekę. Ryk wód i ich głuchy pomruk, gdy przetaczały się przez zaryte w korycie głązy, niósł się przez skwarne, nieruchome powietrze. W górę i w dół od katarakty rzeka rozlewała się na jakieś ćwierć mili i płynęła głębokim bardzo wartkim prądem, od czasu do czasu tylko czernił się na niej lśniący wir albo bieląła wytryskiem piana. Drugi brzeg, przeraźliwie dziki, jeżył się czarnymi głazami, okruchami złomów, jakie naniosiła woda w czasie wylewów. Nigdzie nie widać było śladu siedzib i życia ludzkiego.

— Po tamtej stronie — mówił dragoman, wskazując szpicrutą w kierunku wschodnim — biegnie droga wojskowa z Wady Halfa do Sarras. Sarras leży na południe pod tym czarnym pagórkiem. Dwie niebieskie góry, które państwo widzą w oddali, są już w Dongola, przeszło sto mil od Sarras. Droga żelazna ma czterdzieści mil długości, ale często psuli ją derwisze, którzy ze szczególnym upodobaniem robią z szyn dzidy. Tak samo niszczą wiecznie druty telegraficzne. Teraz, jeżeli państwo zechcą się obrócić, wyjaśnię, co widać z tamtej strony.

Był to widok, który, raz dostrzeżony, musi już na zawsze pozostać w pamięci. Taki przestwór dzikiej nieprzerwanej pustyni mógłby być raczej fragmentem jakiejś zimnej i wypalanej planety, ale nie naszej pełnej i dobrotliwej ziemi. Ciągnęła się ona bez końca i bez końca, aż gdzieś, w niezmierzonej dali tonęła w miękkiej fioletowej mgłę. Na bliższym planie piasek był połyskliwie złoty i oślepiająco jaskrawy w słońcu. Jak porwany łańcuch stało na nim sześciu dzielnych żołnierzy, opartych nieruchomo o karabiny; wszyscy rzucali cienie tak czarne, jak oni sami. Poza złotą równiną leżał zwał owego czarnego żużlu, z zygzakami żółtych piaszczystych rozpadlin. A jeszcze dalej wynurzały się wyższe i bardziej fantastyczne szczyty, za nimi jeszcze wyższe i tak jedne pasma przezierały zza drugich, aż po ową fioletową poświatę. Żadne ze wzgórz nie było bardzo wyniosłe, jakieś paręset stóp najwyżej, ale ich dzika, zębata grań i urwiste stoki ze spalonych słońcem głazów nadawały im groźne i swoiste piętno.

— Pustynia libijska — oznajmił dragoman wskazując dumnym ruchem. — Największa pustynia świata. Gdyby ktoś wyruszył stąd prosto na zachód i nie zboczył ani na północ, ani na południe, pierwsze domy, napotkałby dopiero w Ameryce. Czy to nie budzi w pani tęsknoty za krajem? — zapytał, zwracając się do panny Adams.

Ale stara Amerykanka nie słyszała; wzrok jej i uwaga pobiegły bowiem za ruchem Sadie, która jedną ręką ujęła ciotkę pod ramię, drugą zaś wskazywała coś daleko na pustyni.

— O, czy to nie jest bajecznie malownicze — wołała z twarzyczką zarumienioną od podniecenia. — Panie Stephens, proszę spojrzeć! Tego jednego jeszcze nam brakowało do obrazu. Widzi pan tych ludzi na wielbłądach, wyjeżdżających pomiędzy pagórków?

Wszyscy ujrzeni długi sznur jeźdźców w czerwonych turbanach wynurzających się z jednego z wąwozów. Zapadła taka cisza, że brzęczenie much wydawało się uszom hałasem. Pułkownik Cochrane zapalił zapałkę i trzymał ją w jednej ręce, a niezapalonego papierosa w drugiej, póki płomień nie zaczął ślizgać mu się po plecach. Belmont pogwizdywał. Dragoman stał osłupiały z półotwartymi ustami, a jego grube czerwone wargi przybrały siny odcień. Inni patrzyli po sobie w niejasnym przecuciu, że stało się coś złego. Pułkownik pierwszy przerwał milczenie:

— Na miły Bóg, Belmont, zdaje się, że jedna szansa na sto się ziściła.

ROZDZIAŁ IV

— Co to ma znaczyć, Manzorze — krzyknął srogo Belmont. — Co to za ludzie i dlaczego stoisz, jakbyś zmysły postradał?

Dragoman opanował się z wysiłkiem i zwilżył zeschłe wargi, nim przemówił.

— Nie wiem, co to za jedni — wykrztusił załamany głosem.

— Co to za jedni? — zawołał Francuz. — Widzicie przecież. Uzbrojeni ludzie na wielbłądach, ababdehowie, biszarowie, krótko mówiąc: beduini, tacy, jakimi rząd posługuje się na granicy.

— Na Jowisza, może on ma rację, Cochrane — rzekł Belmont patrząc pytająco na pułkownika. — Dlaczego nie miałyby być, jak mówi? Kto wie, czy to nie są sojusznicy?

— Nie ma sojuszników z tej strony rzeki — odparł szorstko pułkownik. — Co do tego nie mam złudzeń. Przestańmy się łudzić. Trzeba się przygotować na najgorsze.

Jednak na przekór tym słowom stali jak skamieniali w niemej gromadzie ze wzrokiem wbitym w równinę. Nerwy ich były porażone nagłym wstrząsem i scena rozgrywała się dla wszystkich jakby we śnie — majak, nie dotyczący ich osobiście. Jeźdźcy na wielbłądach wynurzali się z gardzieli o jakąś milę od drogi, którą oni tu niedawno przybyli. Toteż odwrót był dla nich całkowicie odcięty. Kurz i długi sznur zwierząt wskazywały, że wojsko przybywa zza wzgórz, bo siedemdziesiąt wielbłądów z ludźmi zajmuje znaczny kawał przestrzeni. Wydostawszy się na otwartą przestrzeń, Arabowie bardzo przezornie sformowali front i na ostry głos trąby ruszyli naprzód jednym szeregiem kołyszących się postaci, a piasek buchał żółtymi kłęбами spod kopyt wielbłądów.

W tej samej chwili sześciu czarnych żołnierzy sudańskich podsunęło się z karabinami. Ruchem wytrawnych szermierzy wśliznęli się za siodło skalne na stoku pagórka. Karabiny ich zawarczały wszystkie razem, gdy kapral dał im znak, by dać ognia.

I teraz nagle pierwsze odrętwienie podróżnych opadło, ogarnęła ich szaleńcza, bezsilna energia. Zaczęli w opętaniu kołować po swoim płaskowyżu, jak spłoszone kury wśród sztachet dziedzińca. Nie mogli pogodzić się z myślą, iż nie ma dla nich ucieczki. Raz po raz rzucali się na zrąb wielkiej skały, która wpadała stromo w rzekę, ale najmłodszy i najzuchwalszy z nich nigdy nie odważyłby się spuścić tamtędy. Obie kobiety uczepiły się dygocącego Manzora, w poczuciu, że on jest z urzędu odpowiedzialny za ich bezpieczeństwo. Kiedy biegał w rozpaczony tam z powrotem, ich trzy spódnice powiewały razem. Adwokat Stephens trzymał się bezustannie Sadie Adams, bełkocąc jak automat:

— Niech się pani nie boi, panno Sadie, niech się pani nie boi — chociaż sam cały drżał ze strachu. Pan Fardet dreptał wkoło, siejąc swymi gardlanymi *r* i rzucał gniewne spojrzenia w stronę towarzyszy, jak gdyby to oni go w jakiś sposób zdradzili. Ksiądz Stuart stał z otwartą parasolką, wlepiwszy bezmyślne i przerażone oczy w dalekich jeźdźców. Cecil Brown kręcił eleganckiego wąsika, bardzo blady, ale wzgardliwy jak zawsze. Pułkownik, Belmont i młody absolwent z Harvardu zachowali najwięcej zimnej krwi i przytomności umysłu z całego towarzystwa.

— Skupmy się — mówił pułkownik. — Nie ma dla nas wyjścia, więc bądźmy przynajmniej wszyscy razem.

— Zatrzymali się — zauważył Belmont.

— Przypatrują się nam. Wiedzą doskonale, że im nie ujdziemy i nie spieszą się. Nie wiem, co byśmy mogli zrobić?

— A choćby ukryć panie — podsunął Headingly. — Nie mogą wiedzieć, ile nas jest. Kiedy nas zabiorą, panie będą mogły wyjść z ukrycia i wrócić na statek.

— Wybornie — zawołał pułkownik Cochrane. — Wybornie! Pani pozwoli tedy — dał znak pannie Adams. — Manzorze, przyprowadź panie tutaj. Nie ma chwili do stracenia.

Część płaskiego szczytu była niewidoczna od strony równiny. Na niej to z gorączkowym pośpiechem wybudowali budkę. Jedną spośród płyt kamiennych leżących dookoła, udało im się oprzeć ukośnie o skałę, po czym podsunęli z boku dwa głązy dla podtrzymania. Miały tę samą barwę co skała, tak, że na pierwszy rzut oka kryjówka nie była bardzo widoczna. Wepchnięto tam obie panie, przycupnęły obok siebie, Sadie objęła ciotkę ramionami, zasłonięto wejście kamieniem i mężczyźni z lżejszym już sercem wrócili na dawne stanowisko, zobaczyć, co się dzieje. Właśnie w tej chwili rozległ się ostry trzask wystrzału karabinowego — za nim drugi i trzeci. Strzelali żołnierze z eskorty, ale odgłos ich przerywanej palby tonął w ciągłej kanonadzie, podobnej do odgłosu grzmotów. Podróżni przytulili się za występem skalnym, jeden tylko Francuz nie przestawał dreptać nerwowo i bić w wielki kapelusz ściśniętym kułakiem.

Cochrane z Belmontem przyczołgali się do sudańskich żołnierzy, którzy strzelali ostrożnie i powoli, z lufami opartymi o głązy przed sobą.

Arabowie zatrzymali się w odległości pięćdziesięciu jardów, a widać było z powolności ich poruszeń, że pewni są, iż ofiary im nie ujdą. Przystanęli, aby zorientować się co do ich liczby, zanim położą na nich rękę. Większość strzelała siedząc na wielbłądach, niektórzy tylko zeszli i poprzyklękali na ziemi — migotliwe białe plamki na złotym tle. Strzały ich dolatywały chwilami jak szybkie pukanie, chwilami zlewały się w długi łoskot, jakby chłopcy uderzali kijem po sztachetach. Wzgórze dudniło jak ul, a kule odbijały się od skał z ostrym trzaskiem.

— Źle pan robi, narażając się — rzekł Belmont i pociągnął pułkownika za szeroki wyszczerbiony złom, który już służył jako osłona trzem Sudańczykom.

— Kula jest jeszcze najlepsza ze wszystkiego, czego się możemy spodziewać — odparł głucho pułkownik. — Jakież byłem szalony, że nie oparłem się energiczniej tej śmiesznej wyprawie! Mam to, na com zasłużył, ale ci biedacy, którzy ani na chwilę nie przeczuwali niebezpieczeństwa!

— Zatem nie ma dla nas ratunku? Czy nie przypuszcza pan, że załoga Halfy nadbiegnie na odgłos strzałów?

— Nie usłyszycie ich nawet. Stąd do statku jest dobre sześć mil. Stamtąd do Halfy jeszcze z pięć.

— Ale jeżeli nie wrócimy, dadzą im znać ze statku.

— Tylko, gdzie my wtedy będziemy?

— Moja Nora, moja droga, biedna Nora! — mruzczał Belmont pod szpakowatym wąsem.

— Co pan myśli, że z nami zrobią? — zapytał po chwili milczenia.

— Mogą nam podciąć gardła, albo wziąć jako niewolników do Chartumu. Wielkiego wyboru nie ma. Jeden z nas przynajmniej jest już ocalony.

Najbliższy żołnierz usiadł nagle i opuścił głowę na kolana. Jego ruch i poza wyglądały tak naturalnie, że trudno było uwierzyć, iż kula przestrzeliła mu głowę. Nie drgnął nawet i nie jęknął. Towarzysze pochylili się nad nim na chwilę, potem wzruszyli ramionami i obrócili znowu czarne twarze ku Arabom. Belmont podniósł karabin i ładownicę zabitego.

— Można jeszcze użyć tylko trzy razy — rzekł, kładąc sobie na dłoni mały mosiężny krążek. — Za wcześnie i za często kazaliśmy strzelać. Trzeba było poczekać, aż napadną.

— Pan jest sławnym strzelcem — odezwał się pułkownik. — Słyszałem o panu cuda. Czy nie mógłby pan sprzątnąć ich herszta?

— Któryż to jest?

— O ile mogę się domyślać, ten na białym wielbłądzie, na prawym skrzydle. Mam na myśli tego, który przypatruje się nam z rękami przy oczach.

Belmont nabił karabin i gotował się do strzału.

— Jest fatalne światło dla ocenienia odległości — mruknął. — W tych warunkach Lee-Metford byłby o wiele przydatniejszy od Martiniego. Spróbuję nastawić na pięćset jardów. — Wypalił, ale ani biały wielbłąd, ani wypatrujący jeździec nie drgnęli.

— Czy piasek nie zadymił, nie widział pan?

— Nie, nie widziałem.

— Zdaje mi się, że celowałem za blisko.

— Niech pan jeszcze raz spróbuje.

Belmont wypalił po raz wtóry, ale znowu wielbłąd i dowódca wyszli bez szwanku. Trzeci strzał musiał paść bliżej, bo Arab przesunął się o parę kroków na prawo, jakby zaczynał się niepokoić. Belmont rzucił na ziemię pusty karabin z okrzykiem zniechęcenia.

— To ten przekłety blask! — wołał z twarzą płonąca z rozdrażnienia. — Niech pan tylko pomyśli: zmarnować w ten sposób trzy naboje! Gdyby to było w Bisley zestrzeliłbym mu turban z głowy, ale w tej oślepiającej jaskrawości wszystko się widzi inaczej. Co się stało Francuzowi?

Pan Fardet latał po płaskowyżu jak człowiek ukąszony przez osę. *S'cré nom! S'cré nom!* — wykrzykiwał, błyskając białymi zębami spod wypomadowanych czarnych wąsów. Wstrząsnął gwałtownie prawą ręką i w tej samej chwili poczuł, że cieniutka struga krwi sączy mu się po palcach. Kula zraniła go w nasadę dłoni. Headingly wyskoczył zza głazu, gdzie siedział przykucnięty, aby wciągnąć oszalałego Francuza w bezpieczniejsze ukrycie, ale nie zdołał jeszcze uczynić trzech kroków, kiedy sam, trafiony w biodro, zwałił się ciężko na kamienie. Próbował dźwignąć się i znowu upadł na to samo miejsce, rzucając się konwulsyjnie, jak koń ze strzaskanym krzyżem.

— Koniec ze mną — szepnął, kiedy pułkownik nadbiegł mu z pomocą, a potem już leżał cicho z twarzą bladą jak chusta, na tle czarnych głazów. Kiedy ledwie rok temu błądził wśród wiązków w Cambridge, na pewno ostatnim przypuszczeniem, jakie mógł być czynić co do własnych losów byłoby, że padnie, przeszyty kulą sfanatyzowanego bisurmana w dziczy libijskiej pustyni.

Tymczasem ustał ogień eskorty: wystrzelili wszystkie naboje. Jeszcze jeden żołnierz zginął, trzeci, kapral oddziałku, dostał kulą w udo. Siedział na kamieniu i obwiązywał swoją ranę, a jego czarna i pomarszczona twarz z wyrazem ciężkiej troski, przypominała twarz starej kobiety, która próbuje skleić stłuczony talerz. Trzej pozostali ścisnęli mocniej karabiny, aż im zachrząściły w dłoniach, a wyglądali jak ludzie, którzy postanowili drogo sprzedać swoje życie.

— Idą! — krzyknął Belmont, spojrzawszy na równinę.

— Niech sobie idą — odparł pułkownik, wsuwając ręce w kieszenie od spodni. Nagle wyciągnął zaciśniętą pięść i rzucił pełne wściekłości spojrzenie. Och psy! psy! — syknął, a oczy jego nabiegły krwią.

To los biednych osłarzy tak wyprowadził z równowagi spokojnego zwykle żołnierza. Podczas strzelaniny siedzieli, zbici w budzącą litość gromadę, pomiędzy głazami u podnóża pagórka. Teraz, czując, że zbliżający się derwisze przede wszystkim rzucają się na nich, dopadli swoich zwierząt i wśród dzikich wrzasków strachu, zaczęli gnać przez równinę. Grupa ośmiu czy dziesięciu jeźdźców arabskich wysunęła się oskrzydłującym ruchem i wpadła na uciekających, rąbiąc i siekąc z zimnym, wymyślnym okrucieństwem. Mały chłopczyk w obwisłym egipskim kapeluszu wyprzedzał przez pewien czas swoich prześladowców, ale wielbłądy długimi krokami dognały go i Arab wbił mu dzidę w sam środek pochylonych pleców. Drobne, białe ubrane figurki wyglądały jak stadko owiec, pędzonych przez pustynię.

Ale podróżni na skale nie mieli czasu przejmować się losem oślarzy. Nawet pułkownik po pierwszym, pełnym oburzenia wybuchu zapomniał o nich zupełnie. Jeźdźcy w ostatniej chwili puścili się klusem, a znalazłszy się u podnóża skały, zeszli z wielbłądów, które ustawili na klęczki i rzucili się pędem pod górę. Pięćdziesięciu ludzi wspinało się dróżką i po nagiej skale, a czerwone turbany to ukazywały się, to niknęły wśród sterzących głazów. Bez wystrzału i bez zatrzymania się przebiegli po trzech czarnych żołnierzach, jednego zabili, dwóch stoczyło się na dół spod ich wściekłych stóp. Wpadli na małą płaszczyznę wierzchołka i tu niespodziewany opór zatrzymał ich na chwilę.

Podróżni, zbici w gromadę, czekali każdy po swojemu na przyjście Arabów. Pułkownik, znowu z rękami w kieszeniach, starał się gwizdać suchymi wargami. Belmont, skrzyżowawszy ręce na piersiach, stał oparty o skałę, a jakiś cierpki grymas osiadł na jego chmurnej twarzy. Dziwną istotą jest człowiek: trzy kolejne chybienia i zepsucie sobie sławy wyborowego strzelca gryzło go bardziej, niż wiszący nad nimi los. Cecil Brown stał wyprostowany i targał nerwowo podkrecone koniuszki eleganckiego wąsika. Pan Fardet jęczał z powodu swojej rany. Stephens, w bolesnej niemocy, kiwał wolno głową, żywe wcielenie prozaicznego prawa i porządku. Ksiądz Stuart stał jeszcze ciągle z otwartą parasolką; jego wielka twarz i piwne, wlepione w jeden punkt oczy, nie miały najmniejszego wyrazu. Headingly blady jak chusta, leżał bez ruchu na kamieniach. Kapelusz spadł mu z głowy, wyglądał niemal chłopięco ze swoją zjezoną, płową czupryną i gładką, delikatnie rzeźbioną twarzą. Dragoman siedział na kamieniu i bawił się nerwowo szpicrutą. Tak ich zastali Arabowie, wpadając na wierzchołek skały.

I właśnie, kiedy biegnący na przedzie już dosięgali uwięzionych, zaszedł zupełnie nieoczekiwany wypadek. Od chwili, gdy derwisze ukazali się po raz pierwszy, ksiądz z Birmingham, wyglądał jak człowiek pogrążony w śnie kataleptycznym. Nie drgnął, ani się nie odezwał. Aż teraz obudził się naraz w przyływie bohaterskiej odwagi. Być może był to paroksyzm strachu, być może zagrała w jego żyłach krew jakiegoś odległego przodka Wikinga, dość że porwał się dzikim skokiem i pochwyciwszy czyjąś łaskę, począł nią wymachiwać na lewo i prawo po Arabach z wściekłością, która nawet ich szła przewyższała. Jeden z obecnych, któremu zawdzięczam te szczegóły, powiada, że żaden z obrazów, wrytych w jego pamięci, nie jest tak wyrazisty, jak wspomnienie tego człowieka, z ogromną świecą od potu twarzą, z kołyszącym się ociężałe tułowiem, gdy smagał kulących się i wrzeszczących barbarzyńców. Wtem ostrze włóczni wysunęło się zza skały, pchnięty zniemacka kapłan osunął się na łokcie i na kolana, a horda przeszła po nim, biegnąc ku mniej opornym ofiarom. Noże błysnęły im przed oczyma, brutalne ręce chwyciły ich za przeguby dłoni i gardła, po czym ze zwierzęcą pasją zwleczono ich z urwiska do miejsca, gdzie czekały wielbłądy. Francuz wymachiwał zdrową ręką i wykrzykiwał: *Vive le Calife! Vive le Mahdi!* póki uderzenie kolbą w plecy nie zmusiło go do milczenia.

Zbici w bezbronną trzódkę u stóp skały Abusir stali ci ludzie współcześni, pochwyceni w drapieżne szpony siódmego stulecia. Bo prócz karabinów, jakie mieli w ręku, nic nie różniło rabusiów od wojowników pustyni, którzy pierwsi przynieśli arabski sztandar z półksiężycem. Wschód się nie zmienia i derwisze nie byli mniej waleczni, ani mniej okrutni lub fanatyczni, niż ich przodkowie. Stanęli półkolem, oparci na strzelbach i dzidach i pałającymi oczyma wpatrywali się w smutne postaci schwytych. Mieli na sobie coś w rodzaju mundurów, żółte z niewyprawianej skóry buty i białe tuniki z wszytymi brązowymi łatami. Czerwone turbany osłaniały im głowy i karki, tak że okrutne twarze tonęły w szkarłatnej oprawie. Wszyscy posiadali karabiny, jeden miał przewieszony przez ramię wytarty róg. Połowę ich stanowili Murzyni, doskonale zbudowani, muskularni ludzie, o kształtach czarnych Herkulesów, reszta składała się z Arabów Baggara, drobnych, ciemnych i krępych, o małych przebiegłych oczach i

cienkich, okrutnych ustach. Naczelnik był też z plemienia Baggara, ale wzrostem przewyższał pozostałych; kruczyna broda spadała mu na piersi, a spod gęstych czarnych brwi świeciły złe i zimne oczy. Spoczywały one w tej chwili na jeńcach, a z rysów twarzy przebijała natężona myśl. Księdza Stuarta zniesiono z góry, był bez kapelusza, twarz jeszcze miał czerwoną od strachu, a spodnie w jednym miejscu przylepiły mu się do nogi. Dwaj pozostali przy życiu żołnierze sudańscy z plamami krwi na twarzach i na niebieskim ubraniu, stanęli milcząco na bacność, nieco na uboczu od nieszczęsnej grupy straceńców.

Naczelnik namyślał się chwilę, gładząc czarną brodę. Złe oczy przesuwają się z jednej wynędzniałej ofiary na drugą, szorstkim, nakazującym głosem powiedział coś, na co dragoman Manzor wysunął się naprzód ze zgiętym grzbietem i błagalnie wyciągniętymi rękami. W turystach budziła zawsze pewne rozbawienie jego krótka marynarka na rozwianej spódnicy, ale teraz, w blasku południowego słońca, na tle tych ohydnych twarzy, dodawał on raczej jakiejś niesamowitej okropności scenie. Dragoman bił pokłony jak automatycznie ale nieudolnie poruszona lalka. Potem, na jakiś krótki wyraz przywódcy, upadł nagle twarzą na ziemię, tarzając się czołem w piasku i bijąc rękoma.

— Co to ma znaczyć, pułkowniku? — zapytał Belmont. — Po co on robi takie przedstawienie?

— O ile mogę się domyślać, jesteście straceni — odpowiedział pułkownik.

— Ależ to nonsens! — krzyknął porywczony Francuz. — Dlaczego ci ludzie mieliby mi źle życzyć? Nigdy im nie zrobiłem żadnej krzywdy. Przeciwnie, zawsze byłem im przyjazny. Gdybym mógł tylko z nimi mówić, zrozumieliby. Hola, Manzor!

Podniecone ruchy Fardeta ściągnęły nań groźne spojrzenie naczelnika Baggarów. Znowu rzucił krótkie pytanie, a Manzor na klęczkach przed nim, odpowiedział.

— Wy tłumacz mu, że jestem Francuzem, dragomanie. Powiedz, że jestem przyjacielem kalifa. Powiedz, że moi rodacy nie mieli z nim nigdy żadnych zatargów, owszem, jego wrogowie są i naszymi.

— Naczelnik pyta, jakiej pan jest religii? — tłumaczył Manzor. — Powiada, że kalif nie ma żadnej potrzeby zawierać przyjaźni z niewiernymi.

— Powiedz mu, że u nas we Francji wszystkie religie są równe sobie.

— Naczelnik powiada, że tylko pies szczekający, albo jego syn może uważać wszystkie religie za jednakowo doskonałe. Mówi, że jeżeli pan jest naprawdę przyjacielem kalifa, to uzna pan Koran i stanie się szczerym wyznawcą. Jeżeli tak, to on przyrzeka dostarczyć pana żywego do Chartumu.

— A jeżeli nie?

— Czekaj pana ten sam los, co innych.

— To złóż moje uszanowanie panu naczelnikowi i powiedz, że Francuzi nie mają zwyczaju zmieniać religii pod przymusem.

Naczelnik powiedział coś, a potem zaczął się naradzać ze stojącym obok krępyim Arabem.

— Mówi, proszę pana — objaśniał dragoman — że jeżeli pan się jeszcze słowem odezwie, zrobi z pana żłób do karmienia swoich psów. Niech pan już nic nie mówi, żeby go nie drażnić, bo on teraz obmyśla, co z nami zrobić.

— Kim on jest? — zagadnął pułkownik.

— Ali Wad Ibrahim, ten sam, który dowodził zeszłorocznym napadem i wyrznął całą ludność nubijskiego miasteczka.

— Słyszałem o nim — rzekł pułkownik — uchodzi za jednego z najzuchwalszych i najbardziej sfanatyzowanych wodzów kalifa. Bogu dzięki, że kobiety są bezpieczne.

Dwaj Arabowie rozmawiali ostrym, urywanym tonem, który tak razi w ustach południowców. Po chwili obaj obrócili się w stronę dragomana, który ciągle jeszcze klęczał na piasku. Zarzucili go pytaniami, wskazując kolejno jednego jeńca po drugim. Potem znowu zaczęli się naradzać, wreszcie naczelnik powiedział coś Manzorowi z łaskawym ruchem ręki, co oznaczało, że ma to powtórzyć innym.

— Niebu niech będą dzięki, panowie, myślę, że na razie jesteśmy ocaleni — zaczął Manzor, strząsając piasek, który mu się przylepił do spoconego czoła. — Ali Wad Ibrahim powiada, że wprawdzie niewierni zasługują tylko na dźgnięcie mieczem przez synów Proroka, ale *beit-el-mal'owi* w Omdurmanie większą korzyść przyniesie złoto, które wasi kamraci za was zapłacą. Póki się to nie stanie, możecie pracować jako niewolnicy kalifa — chyba, że on zechce skazać was na śmierć. Macie wejść na wielbłądy i jechać z oddziałem.

Naczelnik czekał na koniec tłumaczenia, potem wydał krótki rozkaz. Na to podsunął się Murzyn z zardzewiałym mieczem. Dragoman kwiknął jak królik, gdy zobaczy łasicę i znowu, półprzytomny, rzucił się na piasek.

— Co to oznacza, pułkowniku? — spytał Cecil Brown. Bowiem pułkownik służył na Wschodzie i jedyny z całego towarzystwa miał jakieś pojęcie o języku arabskim. — O ile jestem w stanie zrozumieć, powiedział, że na nic im się nie zda dragoman, bo nikt się nie zatroszczy, żeby płacić za niego okup, a na niewolnika jest za gruby.

— Biedaczysko! — krzyknął Brown. — Niech pan mu powie, panie pułkowniku, żeby mu dał spokój. Nie możemy pozwolić, aby go zarżnęli na naszych oczach. Niech pan powie, że zbierzemy między sobą pieniądze. Ja ręczę za pokazną sumę.

— I ja się przyczynię w miarę środków — dorzucił Belmont.

— Wystawimy wspólny rewers — odezwał się adwokat. — Mam przy sobie papier i ołówek, gotów jestem w tej chwili sporządzić szkic, a naczelnik może zaufać, że będzie zupełnie prawidłowy i prawomocny.

Arabszczyzna pułkownika okazała się jednak niedostateczna, a Manzor sam tak był oszalały ze strachu, że nie rozumiał zupełnie, co dla niego chcieli uczynić. Murzyn spojrział pytająco na naczelnika, zakołysał długim czarnym ramieniem i wzniesiony miecz błysnął nad jego głową. Ale dragoman wrzasnął coś, co powstrzymało cios i sprawiło, że naczelnik i jego przyboczny oficer spojrzeli po sobie z wyrazem zdziwienia. Inni przysunęli się i stłoczyli dokoła czołgającego się po ziemi skazańca.

Pułkownik nie zrozumiał tej nagłej zmiany, nikt nie mógł domyśleć się powodu, jednemu tylko Stephensowi instynkt podsunął straszliwe przypuszczenie.

— Ha, nędznik! — krzyknął z wściekłością. — Powstrzymaj język, ty ohydne stworzenie! Milcz! Lepiej umrzeć, tysiąc razy lepiej umrzeć!

Ale było za późno. Wyszedł na jaw niski środek, za pomocą którego tchórz pragnął uratować swoje życie. Postanowił wydać kobiety. Widzieli, że twarz naczelnika przybrała łagodniejszy wyraz, uczynił ruch łaskawego zezwolenia, a wtedy Manzor począł coś mówić szybko i z powagą, wskazując na pagórek. Na jedno słowo Baggary, dwunastu zbójców rzuciło się na ścieżkę i zniknęło sprzed oczu na wierzchołku. Rozległ się rozzwierający krzyk strachu, a w chwilę potem ukazali się znowu Arabowie, wlokący między sobą kobiety. Sadie, młoda i zwinna, dotrzymywała kroku i dodawała jeszcze cały czas odwagi ciotce, starsza pani natomiast szamotała się wśród ciągnących ją białych postaci, podobna do kurczenia wyciągniętego z kurnika.

Ciemne oczy naczelnika ześlizgnęły się szybko z twarzy panny Adams, zatliły się za to nagle na widok młodszej kobiety.

Wydał krótki rozkaz i jeńców, jak nędzne, beznadziejne stado, pognano ku klęczącym wielbłądom. Już uprzednio splądrowano im kieszenie, a cała ich zawartość poszła do worka z paszą dla wielbłądów, który do karku zwierzęcia przywiązał własnoręcznie Ali Wad Ibrahim.

— Pułkowniku — szepnął Belmont, mierząc oburzonym spojrzeniem ohydneho Maznora — udało mi się ukryć mały rewolwer kieszonkowy, którego nie znaleźli. Czy mam zastrzelić tego nędznika za wydanie kobiet?

Pułkownik potrząsnął przecząco głową.

— Lepiej niech go pan zachowa — rzekł posepnie. — Może będzie jeszcze potrzebny kobietom, zanim się to wszystko skończy.

ROZDZIAŁ V

Wielbłądy, jedne płowe, inne białe, klęczały długim sznurem, poruszając rytmicznie żującymi szczekami i kołysząc wdzięcznie osadzonymi łbami w jakiś niemal zalotny sposób. Przeważnie były to śliczne stworzenia, wysmukłe, o płynnej linii karku — co oznacza dobrą rasę. Znajdowało się jednak między nimi kilka okazów mniej zgrabnych, z sierścią nieczyszczoną i zeszpeconą przez czarne plamy od dawnych wypaleń. Te przeznaczone były do noszenia ciężarów i łagwi z wodą. Ale parę minut wystarczyło, by zdjąć z nich ładunki i przygotować miejsce dla jeńców. Nie skrepowano nikogo, z wyjątkiem księdza Stuarta. Arabowie zrozumieli bowiem, że jest to duchowny, a przyzwyczajeni w myśli do łączenia religii z okrucieństwem, wzięli jego dziki wybuch za fakt całkiem naturalny i uważali go za najniebezpieczniejszego i najbardziej zaradnego ze wszystkich. Związali mu tedy ręce plecionymi postronkami z wielbłąda. Inni natomiast, nie wyłączając dragomana i dwóch czarnych żołnierzy, mogli jechać swobodnie — sama ociążałość ich wierzchowców była dostateczną rękojmią, że nie uciekną. Wśród wrzasków ludzkich i ryków wielbłądów, zwierzęta podniosły się na nogi. Długi orszak rozwinął się w pojedynkę i ruszył, zostawiając za sobą świadka lepszych dni — rzekę — i kierując się ku migotliwej błękitnej poświacie, zawisłej nad bezkresnym obszarem, nad wspaniałą i straszną zarazem pustynią, na której, jak tygrysie pręgi, znaczyły się czarne skały i złote piaski.

Żaden z białych jeńców, prócz pułkownika Cochrane'a, nigdy w życiu nie siedział na wielbłądzie. Przerazająca wysokość, gdy spojrzeli na ziemię, dziwne kołysanie, a na dodatek niepewne siodło, sprawiały, że czuli się niedobrze i drżeli ze strachu. Ale fizyczna niewygoda była niczym wobec gorzkich myśli, jakie ich nurtowały. Co za przepaść między ich dotychczasowym życiem, a życiem obecnym! A jednak, jaki krótki czas i przestrzeń je dzielą! Nie minęła jeszcze godzina, jak stali na szczycie skały, śmieli się i żartowali, albo skarżyli się na upał i muchy, niezbyt odporni wobec drobnych niewygód. Headingly był superkrytyczny co do kolorytu krajobrazu. Nie mogli teraz zatrzeć w pamięci koloru jego twarzy, kiedy leżał na czarnych kamieniach. Sadie szczebiotała o modach angielskich i o paryskich gałganach. Teraz przycisnęła się na pół żywa do kuli drewnianego siodła, a w głowie jej, jak czerwona gwiazda nadziei, wschodziła myśl o samobójstwie.

Ludzkie uczucia, inteligencja, rozumowanie, wszystko to znikło, przepadło — zostało brutalne upokorzenie przez siłę. A tymczasem gdzieś u zakrętu skalnego, czekał na nich ich parowczyk, salon, białe obrusy, błyszczące szklanki, najnowsza powieść i dzienniki londyńskie. Nawet obdarzeni najmniej lotną wyobraźnią, widzieli to wszystko dokładnie: biała zasłona, pani Schlesinger w wielkim żółtym kapeluszu od słońca, pani Belmont na ogrodowym krześle. Ten pływający okruch domowego życia, leżał niemal w polu widzenia, a każde chybotliwe i ciche stąpienie wielbłądów pogrążało ich w beznadziejność. Dziś rano jeszcze tak ojcowsko czuwała nad nimi Opatrzność, takie wesołe było życie — może trochę pospolite, ale jakie pełne uroku i spokoju!

A teraz?

Pułkownik poznał od razu po czerwonych turbanach, łaciastych kaftanach i żółtych butach, że ma do czynienia nie ze zbójceją bandą koczowników, ale z regularną armią kalifa. Teraz, w czasie pochodu przez pustynię, wyszła na jaw elementarna dyscyplina wojskowa, odpowiadająca ich zamiarom. O milę przed nimi i daleko na obu skrzydłach posuwały się patrole, wynurzając się i ginąc wśród piaszczystych wzgórz.

Ali Wad Ibrahim jechał na czele karawany, a jego przysadzisty adiutant dowodził tylną strażą. Główny korpus ciągnął się na jakieś dwieście jardów i w samym jego środku znajdowała się nieszczęsna grupka jeńców. Nie starano się wcale ich rozdzielić i Stephens potrafił się wkrótce tak urządzić, że jego wielbłąd wszedł pomiędzy wielbłądy pań.

— Niech się pani nie poddaje — mówił adwokat do pani Adams — prawda, że jesteśmy zupełnie bezbronni wobec przemocy, ale nie ulega wątpliwości, że z właściwej strony poczynione będą kroki, aby doprowadzić rzecz do porządku. Jestem przekonany, iż skończy się na chwilowej przykrości. Gdyby nie ten łotr Manzor, w ogóle by tu pani nie było.

Smutno było patrzeć na biedną bostonkę, bo w godzinę stała się staruszką. Jej śniade policzki zapadły się, a oczy spod głębokich sińców świeciły dzikim blaskiem. Wylęknionym wzrokiem spoglądały cały czas na Sadie.

Musi istnieć jakiś anioł, którego oddziaływanie jest widoczne tylko w chwilach klęski. Bo oto tę gromadkę światowców tak dotkniętych przez los, odbiegła doszczętnie pustota i samolubstwo i każdy tylko troszczył i martwił się o innych. Sadie myślała o ciotce, ciotka myślała o Sadie, mężczyźni myśleli o kobietach, Belmont myślał o żonie, ale myślał jeszcze i o czymś innym, bo tak długo kopał w łopatkę wielbłąda obcasem, aż znalazł się koło panny Adams.

— Mam tu coś dla pani — szepnął. — Mogą nas rozdzielić lada chwila. Musimy się przedtem odpowiednio przygotować.

— Rozdzielą nas? — jęknęła.

— Niech pani nie mówi tak głośno, bo ten przeklęty Manzor znowu gotów nas wydać. Chcę wierzyć, że tak się nie stanie, ale w każdym razie powinniśmy być przygotowani na najgorsze. Mogą na przykład chcieć się pozbyć mężczyzn, a panie zatrzymać.

Panna Adams wzdrygnęła się.

— Co tu robić? Boże wielki, co tu robić? Jestem starą kobietą, nic mi się już nie należy. Mniejsza o mnie. Ale Sadie — nie mogę o tym myśleć. Matka czeka na nią w domu, a ja? — złożyła chude ręce w bezgranicznej rozpacz.

— Niech pani schowa ręce pod okrycie! — szeptał Belmont, przysuwając się tak, że ich wielbłądy otarły się o siebie.

— I niech pani tego nie puszcza. O tak, dobrze. A teraz niech to pani wsunie pod stanik. Ma pani klucz, który otworzy wszystkie zamki.

Panna Adams poznała, co jej wetknął w rękę i przez chwilę patrzyła na niego jak obłąkana. Potem zagryzła wargi i zaprzeczyła ruchem głowy.

Niemniej wsunęła pistolecik pod suknię i jechała dalej wśród kotłujących się myśli. Czy to naprawdę ona, Eliza Adams z Bostonu, której unormowane, szczęśliwe życie toczyło się między wytwornym mieszkaniem na Commonwealth Avenue, a kościołem prezbiteriańskim na Tremont? Oto siedzi okrakiem na wielbłądzie, z ręką na kurku pistoletu, a myśl jej waży i usprawiedliwia morderstwo. O życie podstępne i zdradliwe, jakże ci mamy wierzyć? Pokaż nam najgorsze oblicze twoje, a zmierzmy się z tobą, ale ty najgroźniejszy jesteś, gdy nam jaśniejiesz w całym wdzięku i łagodności.

— W najgorszym razie jest to tylko kwestia okupu — mówił Stephens do Sadie wbrew własnemu przeświadczeniu.

— Przy tym jesteśmy zawsze jeszcze bliżej Egiptu niż kraju derwiszów. Zarządzą na pewno energiczny pościg za nami. Nie powinna pani upadać na duchu. Wszystko będzie dobrze.

— Ja się wcale nie boję — odparła Sadie, obracając ku niemu wybladłą twarz, która zadawała kłam jej słowom. — Jesteśmy wszyscy w rękę Boga, a On nas nie zgubi. Łatwo mówić, że się w Niego wierzy, gdy wszystko idzie pomyślnie, a teraz można naprawdę tego dowiedzieć. Jeżeli On jest w tym błękitnym niebie...

— Jest!... — odezwał się jakiś głos za nimi. Był to ksiądz z Birmingham, który przyłączył się do ich kółka. Związane ręce przytwierdzone miał do siodła, a ciężkie ciało huštało się w niebezpieczny sposób, przy każdym ruchu wielbłąda. Zraniona noga ociekała krwią, oblepiona cała przez muchy, rozgorzałe słońce pustyni prażyło go w gołą głowę, bo kapelusz i parasol przepadły w czasie bijatyki. Dostawał gorączki i na wielkie blade jego policzki wystąpiły plamy rumieńców, a w piwnych oczach ukazały się jakieś iskry. Współtowarzyszom wydawał się zawsze trochę pospolity. Teraz z bolesnego szoku wyszedł przemieniony, uduchowił się i wyszlachetniał. Biła od niego jakaś spokojna siła, która udzielała się innym. Mówił o życiu i śmierci, o ich terażniejszości i nadziejach na przyszłość i zza czarnej chmury ich niedoli wyjrzało słońce. Cecil Brown wzruszał ramionami, bo w godzinę nie mógł zmienić poglądu na świat, ale inni, nawet Fardet, Francuz, poczuli się wzmocnieni i pokrzepieni. Wszyscy zdjęli kapelusze, kiedy ksiądz się modlił. Pułkownik zrobił turban ze swojej jedwabnej czerwonej chustki i nalegał, żeby ksiądz zgodził się go włożyć. W codziennym ubraniu i strojnym nakryciu głowy wyglądał jakby się przebrał dla zabawienia dzieci.

Z czasem do przykrości i zmęczenia, wywołanego ruchem wielbłądów, przyłączać się zaczęła straszna męka pragnienia. Słońce piekło ich z góry, piasek oślepiał od dołu, a cała wielka równina była tak jaskrawa, że mieli wrażenie, iż jadą po stygnącej blasze roztopionego metalu. Wargi im popękały, języki były jak kawały wyschłej skóry, zaczęli w szczególny sposób seplenić, bo tylko samogłoski mogli wymawiać bez trudu. Pannie Adams broda opadła na piersi, a kapelusz zsunął się na twarz.

— Ciocia zemdleje, jeżeli jej nie damy wody — rzekła Sadie. — Niech pan coś poradzi.

Najbliżej jadący derwisze należeli wszyscy do Baggarów, oprócz jednego Murzyna, prostaka jakiegoś, ze śladami ospy na twarzy. W porównaniu z Arabami wyraz jego twarzy wydawał się poczciwy i Stephens odważył się trącić go w łokieć, a potem wskazał na worek z wodą i na omdlewającą kobietę. Murzyn energicznie zaprzeczył głową, ale jednocześnie znacząco spojrzął ku Arabom, jakby chciał dać do zrozumienia, że gdyby nie oni, postąpiłby zupełnie inaczej. Następnie, uderzywszy się wskazującym palcem w piersi, rzekł:

— Tippy Tilly.

— Co takiego? — zapytał pułkownik Cochrane.

— Tippy Tilly — powtórzył Murzyn zniżając głos, jakby chciał być słyszany tylko przez jeńców.

Pułkownik potrząsnął głową.

— Mój arabski jest bardzo słaby. Nie wiem, o co mu chodzi — rzekł.

— Tippy Tilly, Hiks Pasza — powtórzył Murzyn.

— Mam wrażenie, że ten człowiek jest nam przyjazny, ale nic nie rozumiem — zwrócił się pułkownik do Belmonta. — Czy pan myśli, że nazywa się Tippy Tilly i że to on zabił Hiksa Paszę?

Murzyn pokazał wielkie białe zęby, słysząc, że powtarzają jego słowa i rzekł znowu:

— Aiwa Tippy Tilly, bimbaszi Mortimer — Bum.

— Do kaduka, mam go! — krzyknął Belmont — to ma być po angielsku. Tippy Tilly znaczy „Egyptian Artillery”. Służył w artylerii egipskiej pod bimbaszą Mortimerem. Kiedy rozbito Hiksa Paszę, dostał się do niewoli i żeby uratować życie, został derwiszem. Czyż nie?

Pułkownik powiedział parę słów po arabsku i dostał odpowiedź, ale w tej samej chwili nadjechali dwaj Arabowie, Murzyn popędził wielbłąda i oddalił się.

— Odgadł pan — odezwał się pułkownik. — Ten człowiek jest nam przyjazny i wolałby bić się za kedywa niż za kalifa. Wiem, że nic dla nas zrobić nie może, ale bywałem w gorszych

opalach i zawsze wychodziłem cało. Zresztą jesteśmy dotąd w strefie, gdzie może nas doścignąć pogoń i będziemy w niej jeszcze przez czterdzieści osiem godzin.

Belmont zaczął obliczać po swojemu, wolno i z rozważą.

— Na skale byliśmy koło dwunastej. Zaczną się o nas niepokoić na statku, o ile nie wrócimy do drugiej.

— Tak — przerwał pułkownik. — Miała to być nasza pora śniadaniowa. Przypominam sobie, że mówiłem, iż po powrocie chcę mieć... Boże mój, lepiej nie myśleć o tym!

— Kapitan jest starym niedołęgą — ciągnął dalej Belmont — ale mam bezwzględne zaufanie do zaradności i energii mojej żony. Ona spowoduje, że zaraz dadzą znać. Jeżeli powiedzmy, wyjadą o pół do trzeciej, w Halfa będą o trzeciej, ponieważ płyną z prądem rzeki. Jak długo trwa przygotowanie oddziału wielbłądziego?

— Powiedzmy, że godzinę.

— Drugą godzinę zajmie przeprawa przez rzekę. Staną przy skale Abusir i wpadną na nasz trop około szóstej. Potem już sprawa jest prosta. Jesteśmy tylko o cztery godziny od nich i niektóre wielbłądy są pomeczzone. Możemy jeszcze być ocaleni, pułkowniku!

— Niektórzy z nas, zapewne. Nie wierzę, żeby *padre* odżył jutro i nie mam złudzeń co do panny Adams. Nie są stworzeni do tego rodzaju przygód. Nie powinniśmy przy tym zapominać, że Arabowie mają zwyczaj mordować jeńców, gdy przychodzi odsiecz. Proszę pana, w razie gdyby pan wrócił, a ja nie, mam tu pewien zastaw i chciałbym, aby pan wziął tę rzecz ode mnie.

Jechali nachyleni ku sobie, cali pochłonięci omawianą sprawą.

Przyjazny Murzyn, który nazwał siebie Tippy Tilly, wydobył skądś zmoczony w wodzie gałgan, wsunął go nieznacznie do rąk Stephensowi i panna Adams zwilżyła nim wargi. Tych parę kropel starczyło, by ją pokrzepić, a kiedy kryzys minął, jej żelazna, jankesowska natura od razu przysłała do siebie.

— Ci ludzie nie wyglądają tak, jakby nam chcieli zrobić krzywdę — odezwała się do Stephensa. — Wierzę, że mają jakieś religijne zasady i to, co jest złe dla nas, jest złe i dla nich.

Stephens zaprzeczył głową w milczeniu. Widział śmierć chłopców-oślarzy — ona nie widziała.

— Może jesteśmy przeznaczeni, aby ich sprowadzić na lepszą drogę — mówiła starsza pani. — Może nas zesłano umyślnie, abyśmy spełnili dobry uczynek w stosunku do nich.

Gdyby nie wzgląd na siostrzenicę, jej energiczny charakter gotów był już sławić możność nawracania Chartumu i zamienienia Omdurmanu w małą, skanalizowaną, o szerokich ulicach kopię miast Nowej Anglii.

— Wiedzą państwo o czym myślę cały czas? — spytała Sadie. — Pamiętacie tę świątynię, którą zwiedzaliśmy. Kiedy to było? Prawda, dziś rano!

Wszyscy troje wydali okrzyk zdziwienia. Tak, to było dziś rano, a lokowało się, gdzieś, wśród odległych wspomnień ich życia, tak wielka była zmiana ich sytuacji, tak wiele przeżyli od tej pory. Jechali w milczeniu, przejęci owym dziwnym rozciągnięciem się czasu, wreszcie Stephens zwrócił uwagę Sadie, że nie dokończyła swojego zdania.

— Ach prawda! Myślałam o malowidle na ścianie tej świątyni. Pamiętają państwo tę trzodeę jeńców, wleczonych za nogę przy wozie wielkiego króla! Jak oplakanie wyglądali wobec prowadzących ich wojowników. Kto mógłby, kto mógłby przypuścić, że po trzech godzinach podzielimy ich los? A pan Headingly...? — Odwróciła twarz i rozplakała się.

— Przestań, Sadie — uspokajała ją ciotka. — Pamiętaj, co ksiądz przed chwilą tłumaczył, że wszyscy jesteśmy bezpieczni w ręku Boga. Jak pan sądzi, gdzie my teraz jesteśmy?

Czerwony rożek Baedekera ciągle jeszcze wystawał z kieszeni adwokata, bo rabusie nie mieli po co go zabierać. Spojrzał nań.

— Jeżeli mi go tylko zostawią, wynotuję sobie parę rzeczy. Mam ogólne pojęcie o okolicy, ponieważ wczoraj naszkicowałem sobie mapkę. Rzeka płynie z południa na północ, więc my musimy jechać prosto na zachód. Sądzę, że obawa pogoni nie pozwala im trzymać się Nilu. Przypominam sobie, że istnieje droga karawan równoległa do rzeki, oddalona od niej o mniej więcej siedemdziesiąt mil w głąb kraju. Jeżeli nie zmienimy kierunku, jutro dojedziemy do niej. Przechodzi koło linii źródeł. Od strony Egiptu, o ile się nie mylę, zaczyna się w Assiout. Drugi jej koniec dochodzi do kraju derwiszów. Zatem może...

Tu słowa jego przerwał wysoki, ostry krzyk, który nagle przeszedł w potok zmańczonych wyrazów bez znaczenia, powtarzających się w obłąkańczych nawrotach. Wypieki pociemniały na policzkach księdza Stuarta, oczy były bezmyślne, ale pełne blasku i jadąc, ani na chwilę nie przestał bełkotać. Dobra matka przyroda! Nie pozwala dzieci swoich zbyt poniewierać, jakby mówiła: „Tego już za wiele — zraniona noga, spękane wargi, wylękła, udręczona myśl. Niechże do mnie myśl ta na czas pewien przyjdzie, nim znów jej siedziba nie stanie się jaką była”. I tak przynęca myśl do Nirwany obłądu, a tymczasem małe pracownice komórki mozołą się i zabiegają, aby przysposobić siedzibę do jej powrotu. Jeśli kiedy uderzy was zasłona okrucieństwa, jaką nosi na sobie przyroda, postarajcie się przebić ją wejrzeniem, a niejednokrotnie błysnie wam spod niej dobre, łagodne oblicze.

Straże arabskie patrzyły wielkimi oczami na ten nagły wyskok księdza, bo wydawał się im szaleństwem, a dla Arabów szaleństwo jest zjawiskiem przerażającym i nadprzyrodzonym. Jeden z jeźdźców wysunął się naprzód i zamienił parę zdań z emirem. Wróciwszy, powiedział coś towarzyszącej i dwaj z nich podjechali do księdza, towarzysząc z obu stron jego wielbłądowi, jak gdyby pilnowali, żeby z niego nie spadł. Przyjazny Murzyn zbliżył się do pułkownika i coś mu szepnął.

— Zatrzymamy się za chwilę — oznajmił Cochrane Belmontowi.

— Chwała Bogu. Dadzą nam może wody. Niepodobna tak dłużej wytrzymać.

— Powiedziałem Tippy Tillemu, że jeżeli nam pomoże, postaram się, by go znowu przyjęto do bimbasy. Zdaje się mieć dobrą wolę, byle tylko coś mógł. Boże mój, widzi pan — rzeka!

Do tej chwili droga ich biegła po nawianych piaskiem krzesanicach z poszarpanymi stokami tak, że trudno było pojąć, w jaki sposób wielbłąd może się na nie wspinać; teraz otworzyła się szeroka, falista przestrzeń, pocięta pasami okrągłego żwiru, które dochodziły aż do błękitnych wzgórz na widnokręgu. Brązowe garby tych pasów na żółtym piachu były tak regularne, że wyglądały jak ciemne fale burzącego się wściekle na głębinach morza. Tu i ówdzie czepiała się kamieni jakaś licha kępka wielbłądziej trawki, podobnej do zielonej szafwii. Spalona równina i błękitnawe wzgórza — nic więcej oko widzieć nie mogło. Za nimi leżały świeżo przebyte, zjeżone skały z pomarańczowymi żłebami piasku. A gdzieś daleko wąska, zielona smużka znaczyła linię rzeki. Jakim lubym chłodem kusila ta cudna zieleń w oślepiającej, potwornej dzicy! W jednym punkcie sterczała nad nią skała — przeklęta skała, która sprowadziła ich nieszczęście. Za nią rzeka zakręcała i słońce lśniło na wodzie. O! Ta lśniąca płynność budziła zwierzęce pragnienie, brutalne pożądanie, które w tej chwili zawładnęło ich duszą! Stracili rodziny, ojczyznę, wolność, wszystko — ale woda! woda! woda! — o tym jednym tylko byli zdolni myśleć. Książdz Stuart w obłąkaniu swoim zaczął domagać się pomarańczy i ponad ich siły było słuchać jego krzyków. Jedyne twarde, surowy Irlandczyk okazał się wyższy nad cielesne pożądania. Miejsce, w którym rzeka się błyszczy, musiało znajdować się niedaleko Halfy i może żona jego była w tej chwili tam, gdzie on patrzył. Nacisnął kapelusz na oczy i jechał w ponurym milczeniu, przygryzając twardego wąsa.

Słońce powoli skłaniało się ku zachodowi i cienie ich poczęły padać od strony, w którą rwały się ich serca. Ochłodziło się, zerwał się powiew pustynny i szemrał po sfalowanej równinie. Emir

na czele pochodu przywołał do siebie adiutanta i obaj wypatrywali spod podniesionych do czoła dłoni jakiegoś granicznego znaku. Wielbłąd naczelnika, pochrzając z zadowolenia, osunął się raptownie na kolana, potem na zad i kładł się w trzech łamanych szarpnięciach, dopóki całym brzuchem nie przywarł do ziemi. Każdy z następnych, doszedłszy do tego samego punktu, przykłękał podobnie, wreszcie wszystkie leżały równo wyciągnięte. Jeźdźcy pozeskakiwali z siodeł i rozłożyli przed wierzchowcami szmaty z sieczką, bo żaden dobrze wychowany wielbłąd nie będzie jadł z ziemi. W pogodnych oczach zwierząt, w ich spokojnym, powściągliwym sposobie jedzenia i we wdzięcznych ruchach było coś kobiecego i układnego.

Na jeńców nikt nie zwracał uwagi, ani na mężczyzn, ani na kobiety, o ucieczce przecież nie mogło być mowy. Emir podszedł raz do nich, głaskał palcami kruczoczarną brodę i przypatrywał się im w zamyśleniu ciemnymi, groźnymi oczami.

Panna Adams zauważyła z przerażeniem, że wzrok jego ciągle kieruje się ku Sadie.

Widząc ich cierpienie, wydał rozkaz i Murzyn przyniósł łagiew z wodą. Była ciepła i mętna, przeszła zapachem skóry, ale jakąż rozkosz dała ich wyschniętym podniebieniom!... Emir powiedział coś krótko do dragomana i odszedł.

— Panie i panowie... — zaczął Manzor, wpadając z nawyku w dawny ton, ale spojrzenie pułkownika wtoczyło mu słowa z powrotem do gardła. Wybuchnął wtedy długą, płaczącą samoobroną:

— Co miałem robić? — jęczał. — Nóż czułem już na samej szyi.

— Poczujesz stryczek na szyi, jak tylko będziemy w Egipcie — warknął dziko Cochrane. — Tymczasem...

— Słusznie, pułkowniku — wdał się Belmont — ale w naszym własnym interesie jest wiedzieć, co mówi naczelnik.

— Co do mnie, nie chcę mieć nic wspólnego z tym plugastwem.

— Przesadza pan. Powinniśmy usłyszeć, co ma do powiedzenia.

Cochrane wrzucił ramionami. Na skutek dzisiejszych przejść stał się drażliwy i musiał zagryźć wargi, żeby powstrzymać cierpką odpowiedź. Oddalił się z wolna sztywnym, wojskowym chodem.

— Zatem, co mówił? — zapytał Belmont, patrząc na dragomana równie surowo, jak pułkownik.

— Zdaje się być trochę lepiej usposobiony, niż poprzednio. Powiedział, że gdyby miał więcej wody, dałby nam, ale sam jest niedostatecznie zaopatrzony. Mówi, że jutro dojedziemy do źródeł Selima i wszyscy będziemy mieli wody pod dostatkiem. Wielbłądy także.

— Czy powiedział, jak długo tu pozostaniemy?

— To tylko krótki postój — mówił — zaraz ruszymy. O, panie!...

— Milcz! — huknął Irlandczyk i zaczął na nowo obliczenia. Jeżeli wszystko poszło jak myślał, jeżeli żona umiała wpłynąć na gnuśnego kapitana i natychmiast dano znać do Halfy, to pogoń powinna już być w drodze. Egipskie oddziały wielbłądnie i konne, powinny przy księżycu iść prędzej i lepiej niż w dzień. Wiedział, że w Halfie był zwyczaj, iż trzymano przynajmniej jeden szwadron gotowy do wymarszu. Był kiedyś na obiedzie w koszarach i oficerowie mówili, jak prędko mogą puścić się w drogę. Pokazywali mu naczynia z wodą i paszą, przygotowane przy każdym wielbłądzie i podziwiał świetną organizację, nie przeczuwając ani na chwilę, ile to będzie kiedyś znaczyło dla niego. Stać się to wszystko powinno na jakąś godzinę przedtem, zanim ruszą z obecnego postoju. Będzie więc to godzina na czysto zarobiona. Może jutro rano...

Myśli jego zostały w straszny sposób przerwane. Pułkownik, rzucając się jak wariat, ukazał się na szczycie najbliższej wydmy, a u rąk jego wisieli dwaj Arabowie. Twarz miał purpurową ze wzburzenia, szarpał się i wił w nieludzkim wysiłku, aby się oswobodzić.

— Przekłęci zbrodniarze! — ryczał, a zobaczywszy towarzyszy, zawołał wielkim głosem: — Zabili Cecila Browna!

Rzecz tak się miała. Rozdrażniony Cochrane zawlókł się na najbliższą wyniosłość i zobaczył w kotlinie z drugiej strony grupę wielbłądów, a za nimi głośno krzyczących, rozgniewanych ludzi. Pomiedzy nimi znajdował się Brown, blady, z ciężkimi powiekami, podkreśnionym, ostrym wąsikiem, powolny jak zawsze. Już uprzednio rabusie przeszukali mu kieszenie, ale teraz postanowili ściągnąć z niego ubranie, żeby się przekonać, czy czegoś nie ukrył. Ohydny Murzyn w srebrnych kolczykach wykrzywił się i szwargotał w samą twarz młodemu dyplomacie. Niezmacony spokój Browna i jego obojętne oczy wydały się pułkownikowi czymś bohaterskim i niemal nadludzkim. Rozpięli mu ubranie, wielka czarna łapa Murzyna wsunęła mu się na plecy i rozdarła koszulę aż do pasa. Na odgłos rozdieranego płótna i pod dotknięciem chamskiej dłoni ten człowiek, wykwinny w każdym calu, ten doskonały twór dziewiętnastego wieku, wyszedł z równowagi i stał się dzikim w zapasach z dzikimi. Ogień zalał mu twarz, nozdrza rozděły się, szczękał zębami jak w febrze. A oczy, te wiecznie senne lub łagodne, mrugające oczy, zaczęły miotać płomienie. Rzucił się na Murzyna i począł go okładać słabo, ale z pasją, tak jakby to robiła kobieta: ze zgiętym łokciem i otwartą dłonią. Murzyn uchylił się na moment, zaskoczony tym nagłym wybuchem wściekłości, ale zaraz z gwałtownym rykiem dobył noża spod szerokiego rękawa i wałąc nim na oślep przed siebie, trafił pod wysunięte ramię przeciwnika. Brown przysiadł pod ciosem i zaczął kaszleć, przeraźliwie kaszleć, rzucając się w ustawicznych spazmach, jak człowiek, który się zachłysnął przy jedzeniu. Po chwili jego płonące policzki zaczęły blednąć, z krtani dobyło się jakieś bulgoczące rżenie, wreszcie, uderzywszy się ręką po ustach, zwałił się na bok. Murzyn chrząknął zadowolony i wsunął nóż z powrotem pod rękaw. Tymczasem dwóch Arabów chwyciło dygoczącego z bezsilnej złości pułkownika i zawlokło go z powrotem do towarzyszy. Skrępowano mu ręce postronkami i ciśnięto, pełnego niemej gorczy, tuż przy obłąkanym niekonformiście.

Tak więc po Headinglym zginął Cecil Brown i na pół przytomne oczy więźniów przechodziły teraz od jednej bladej twarzy ku drugiej, badając kto następny ubędzie z ich płochego korowodu jeźdźców, na który dziś rano patrzono z pokładu *Koroska*, gdy wyruszał na tle modrego nieba poranku. Dwóch z nich już nie żyło, a trzeci postradał zmysły. Przejazdzka dla przyjemności przeszła wszelkie oczekiwania.

Fardet, Francuz, siedział sam, z brodą opartą na rękach, z łokciami na kolanach, wpatrzony z rozpaczą w pustynię. Nagle Belmont zobaczył, że się zrywa i zadziera głowę jak pies, kiedy usłyszy nieznanym kroki. Nachylił twarz, podniósł do oczu splecione palce i wyteżył wzrok w kierunku dalekich pagórków na wschodzie. Belmont poszedł za nim spojrzeniem i... Tak, niezawodnie coś się tam ruszało! Widział połysk metalu i białe plamy ubrania. Derwisz, stojący na czatach, dwa razy obrócił wielbłąda na znak niebezpieczeństwa i oddał strzał w powietrze. Odgłos jeszcze nie ucichł, a już wszyscy Arabowie i Murzyni siedzieli na siodłach. Po chwili wielbłądy były na nogach i zaczęły iść wolno w kierunku niebezpieczeństwa. Kilku uzbrojonych ludzi otoczyło jeńców, nabijając na ich oczach karabiny, jak gdyby dla pogroźki.

— Przebóg, ludzie na wielbłądach! — krzyknął Cochrane. Na widok nadjeżdżających zapomniał o wszystkich swych udrękach. — To muszą być nasi! — W ogólnym zamieszaniu udało mu się uwolnić ręce z postronków, którymi były skrępowane.

— Są szybsi, niż przypuszczałem — mówił Belmont, z oczami błyszczącymi spod krzaczastych brwi. — Przybywają o dobre dwie godziny wcześniej, niż mieliśmy prawo oczekiwać. *Hurrah! Monsieur Fardet, ça va bien c'est — ce pas?*

— *Hurrah! Hurrah! Merveilleusement bien! Vivent les Anglais! Vivent les Anglais!* — wył podniecony Francuz, kiedy czoło kolumny wielbłądów zaczęło się wychylać zza skał.

— Uważajmy! — zawołał do Belmonta pułkownik. — Mogą nas jeszcze zabić, skoro zobaczą, że wszystko stracone. Znam ich obyczaje, musimy być przygotowani na wszystko. Czy może pan wziąć na siebie tego jednookiego zbira? Ja sobie zastrzegam tamtego wielkiego Murzyna, jeżeli tylko uda mi się go ścisnąć! Panie adwokacie, pan musi robić to samo co my. *Monsieur Fardet, comprenez-vous? Il est nécessaire.* Musimy zabić tych chamów, zanim rzucą się na nas. Ty, dragomanie, powiedz obu Sudańczykom, że mają być gotowi... ale, ale... — jego głos załamał się w szept i zachwiał się na nogach. — To Arabowie... — wybełkotał nie swoim głosem.

Z całego ciężkiego dnia ta chwila była najcięższa. Szczęśliwy ksiądz Stuart leżał w piachu, plecami do wielbłąda i chichotał się radośnie z jakiegoś figlika, który mu splątały małe robotnice — komóreczki, zabiegając koło naprawy domu. Na twarzy jego malowało się rozbawienie i uciecha. Ale inni... jakże strasznie czuli się wszyscy w tej chwili! Kobiety płakały. Mężczyźni zapadali znowu w drętwotę, gorszą od łez. Fardet rzucił się twarzą na ziemię, wstrząsany bezłzawym szlochem.

Arabowie dali salwę na powitanie przyjaciół, tamci, wydostawszy się na otwartą przestrzeń, odpowiedzieli na powitania, podrzucając w powietrze strzelby i dzidy. Było ich mniej niż pierwszych, niewiele więcej niż trzydziestu ludzi, ubrania mieli takie same: czerwone turbany na głowach obok łaciatych kaftanów. Jeden trzymał białą chorągiewkę z nagryzmołonym czerwonym napisem. Ale było coś, co odrywało oczy i myśli jeńców od tych szczegółów. Wszystkich jedna trwoga chwyciła za serce i wszyscy milczeli tknięci tym samym przeczuciem. W szeregu wojowników pustyni dojrzeli jakąś chwiejącą się postać...

— Kto tam jest z nimi? — przemówił wreszcie Stephens. — Niech panie patrzą, to na pewno kobieta!

Ktoś siedział na wielbłądzie, ale niepodobna było rozpoznać. Ale kiedy oba oddziały zetknęły się, jeźdźcy rozstąpili się nagle i wtedy prawda wyszła na jaw niezbitcie.

To biała kobieta!

Statek wzięty!

Belmont wydał krzyk, który wzbił się ponad wszystko:

— Nora! Najdroższa! Nie bój się! Jestem tutaj i nic mi się nie stało!

ROZDZIAŁ VI

Tak więc *Korosko* był wzięty i odsiecz, której wyglądali i wszystkie owe mozolne obliczenia czasu i odległości, stały się bezcielesną marą, jak obłoki na niebie. Nikt nie da znać do Halfy, dopóki się nie okaże, że statek nie wrócił wieczorem. Nawet teraz, gdy Nil był już tylko wąską, zieloną wstążką na skraju widnokregu, pogoń jeszcze nie wyruszyła. Do kraju derwiszów jest wszystkiego sto mil, a może nawet i nie tyle. Jaka więc wąła nadzieja, aby wojsko egipskie ich odbiło! Zapadli wszyscy w niemą rozpacz, z wyjątkiem Belmonta, którego straż odepchnęła, kiedy chciał biec do żony.

Oba oddziały jeźdźców złączyły się. Arabowie z powagą i godnością witali się i nawiązywali rozmowy, Murzyni szczerzyli zęby, paplali i krzyczeli w niesfornej wesołości, której nawet Koran nie był zdolny ująć w karby. Dowódcą nowo przybyłych był ascetyczny starzec z siwą brodą i orlim nosem, szorstki w mowie i żołnierski w ruchach. Dragoman stęknął na jego widok i klasnął w ręce z wyrazem człowieka, który widzi, że klęska piętrzy się na klęsce.

— Emir Abderrahman! — rzekł. — Boję się, że teraz już nie dotrzemy żywi do Chartumu.

Imię to nic nie mówiło nikomu, jeden tylko pułkownik słyszał o emirze, jako o potworze okrucieństwa i fanatyzmu, nieprzejednanym muzułmaninie wojującego i nawracającego typu, który nigdy nie wahał się, jeśli chodziło o doprowadzenie drapieżnych zasad Koranu do ostatecznych konsekwencji. Rozmawiał teraz poważnie z emirem Wad Ibrahimem. Wielbłądy ich klęczały obok siebie, a ich czerwone turbany były ku sobie nachylone tak, że czarna broda zlewała się z siwą. Potem odwrócili się obaj i długo, uparcie przyglądali się nieszczęsnej gromadce jeńców. Młodszy pokazywał i tłumaczył, starszy słuchał z surową, przygasłą twarzą.

— Kim jest ten przystojny starzec z siwą brodą? — zapytała panna Adams, pierwsza budząc się z gorzkiego rozczarowania.

— To ich obecny naczelnik — odpowiedział Cochrane.

— To znaczy, że przejmuje władzę od tamtego?

— Tak, pani — odparł dragoman — on jest teraz nad wszystkimi.

— To lepiej dla nas. Przypomina mi Eldera Mathew z czasów księdza Smitha. Bądź co bądź wolę być w jego ręku, niż w mocy tego czarnego diabła z płonącymi oczami. Sadie, dziecko, jak się czujesz? Chłodniej jest teraz, prawda?

— Tak, ciociu, bądź spokojna o mnie. A ty jak się masz?

— Lepiej się trzymam niż na początku, kiedy to dałam ci taki zły przykład, Sadie. Byłam do niczego, tak nagle to się stało, i ta obawa, co powie twoja matka, która mi ciebie powierzyła. *Boston Herald* napisze o nas na pewno na pierwszej stronie. Wiem, że są ludzie, których to zaboli...

— Biedny ksiądz Stuart! — krzyknęła Sadie, gdy monotony, brzęczący głos znowu dobiegł ich uszu. — Chodź, ciociu, zobaczymy, czy nie można mu jakoś pomóc.

— Jestem niespokojny o panią Schlesinger i dziecko — mówił pułkownik Cochrane. — Widzę pana żonę, ale nikogo więcej.

— Prowadzą ją — krzyknął Belmont. — Bogu dzięki, zaraz dowiemy się wszystkiego. Nic ci złego nie zrobili!? Nora, powiedz! Nic? — Poleciał chwycić i ucałować rękę, którą wyciągnęła ku niemu, schodząc z wielbłąda.

Widok miłych szarych oczu i słodkiej twarzy Irlandki wlał otuchę we wszystkich. Była gorliwą katoliczką, a ta wiara jest najlepszą ostoją w godzinach niebezpieczeństwa. Dla niej, dla pułkownika anglikanina, dla księdza niekonformisty, dla amerykańskiej prezbiterianki, nawet dla

czarnych pogańskich opryszków, religia pod różną postacią grała tę samą dobroczynną rolę: podpowiadała zawsze, że największe zło na świecie jest drobnostką, a chociaż twarde są drogi Opatrzności, najmądrzej i najlepiej czynimy, idąc ochoczo tam, dokąd ta Wielka Dłoń nas prowadzi. Ci towarzysze niedoli nie mieli jednego wspólnego dogmatu, ale podtrzymywał ich ten sam duch: spokojny, fundamentalny fatalizm, który jest starym jak świat kośćcem religii, bo siew dogmatów porasta dopiero z czasem jej granitowe podłoże.

— Biedniście! — mówiła pani Belmont. — Przeżyliście dużo gorsze rzeczy niż ja. Nie, naprawdę, John, kochanie, nic mi nie jest, nie mam nawet pragnienia, bo nasz oddział napelnił łągwie w Nilu, dali mi pić, ile chciałam. Ale nie widzę pana Headingly i pana Browna? Oh, biedny ksiądz Stuart! Co mu się stało?

— Headingly i Brown są już wolni od ziemskich trosk — odparł mąż. — Nie wiesz, ile dziś razy dziękowałem Bogu, Noro, że nie jesteś z nami. A jednak się znalazłaś!

— A gdzież mam być, jeżeli nie z mężem? Wolę stokroć tę niewolę, niż siedzieć bezpiecznie w Halfie!

— Czy żadna wiadomość nie doszła do miasta? — zapytał pułkownik.

— Jedna łódka zdołała umknąć. Była w niej pani Schlesinger z boną i dzieckiem. Ja leżałam na dole w kajucie kiedy Arabowie wpadli na statek. Ci, którzy siedzieli na pokładzie, mieli czas uciec, ponieważ łódka stała obok. Nie wiem, czy nikt nie jest raniony, bo Arabowie strzelali przez pewien czas za nimi.

— Strzelali? — krzyknął radośnie Belmont, którego typowa irlandzka natura chwytła się każdego promyczka. — Jeśli tak, to klnę się, że damy im jeszcze, bo załoga musiała słyszeć strzelanie. Co pan o tym myśli, pułkowniku? Już od czterech godzin nas gonią! Lada chwila białe kapelusze oficerów brytyjskich mogą się ukazać zza skał.

Lecz pułkownik po niedawnym zawodzie był chłodny i sceptyczny.

— Mogą wcale nie wyruszyć, jeżeli nie będą mieli dostatecznej siły. Te oba oddziały składają się z wybranych ludzi i mają dobrych wodzów, a na swoim gruncie będą się umiały bić. — Nagle urwał i spojrzął na Arabów. — Do diabła — mruknął — to niezły widok.

Wielkie czerwone słońce połową tarczy tonęło już w fioletowym pasie na widnokregu. Dla Arabów była to godzina modlitwy. Starsza i bardziej uczona cywilizacja zwróciłaby się do tego cudownego zjawiska na niebie, jako do przedmiotu kultu. Ale ci dzicy synowie pustyni byli szlachetniejsi, niż ogładzeni Persowie. Dla nich ideał był wyższy od materii, więc modlili się odwróceniem plecami do słońca, twarzą ku najświętszemu ołtarzowi swej wiary. A jak się modlili! Uniesieni, porwani, z rozmarzonym wzrokiem i promiennym obliczem, wstawali, padali, tarzali się po rozłożonych do modlitwy dywanikach. Kto patrzył na nich, musiał przyznać, że istnieje jakaś wielka, żywa siła w świecie, wsteczna, lecz przerażająca, nieprzeliczone miliony, które myślą jak jeden mąż od przylądka Juby po krańce Chin. Niech tylko jakaś jedna wspólna fala przejdzie po nich, niech zrodzi się wśród nich jeden wielki żołnierz, czy organizator, który chwyci w rękę i zużytkuje ten cały materiał, a nie ulega wątpliwości, że może to być miotła, którą Opatrzność wymiecie zgniłe, znikczemiałe południe Europy, jak to uczyniła przed tysiącem lat, aby zrobić miejsce dla jakiejś zdrowszej rasy.

Kiedy podnieśli się od modlitwy, zabrzmiał głos rogu i więźniowie zrozumieli, że po całodiennej jeździe, grozi im jeszcze jazda nocą.

Belmont mruczał, bo liczył, że pościg dogoni ich jeszcze przed wyruszeniem. Za to pozostali pogodzili się już z koniecznością. Dano im wszystkim po płaskim bochenku arabskiego chleba.

Żadne frykasy nie smakowały im nigdy tak, jak ten suchy, razowy chleb. A potem — zbytek nad zbytkami! — dostali jeszcze po kubku wody, bo świeżo napelnione worki drugiego oddziału wzmocniły znacznie zapasy. Gdyby ciało umiało tak snadnie iść za rozkazami ducha, jak duch

idzie za rozkazami ciała, jakim rajem mogłaby być ziemia! Gdy niskie zwierzęce potrzeby zostały zaspokojone, rozśpiewały się w, nich dusze i wsiedli na wielbłądy, jakby w poczuciu pewnej powieściowości swego położenia.

Bredzący ksiądz Stuart pozostał na ziemi i Arabowie nie zatroszczyli się zupełnie, żeby go wsadzić na siodło. Jego wielka, ku niebu obrócona twarz, jaśniała wśród gęstniejących mroków.

— Hej, dragoman, powiedz im, że zapomnieli o księdzu — krzyknął pułkownik.

— To na nic, panie — odrzekł Manzor. — Powiadają, że jest za gruby i nie chcą go wlec dalej. Umrze — mówią — po co sobie zawracać nim głowę?

— Zostawić go? — zawołał pułkownik. — Ależ on zginie z głodu i pragnienia! Gdzie emir? Hej! — krzyknął, gdy kruczbrody Arab przejeżdżał obok, tonem, jakim zwykł był przyzywać leniwego oślarza. Naczelnik nie raczył odpowiedzieć, powiedział natomiast coś strażnikowi, a ten kolbą od karabinu zdzielił pułkownika po żebrach. Stary żołnierz jęcząc runął z wielbłąda. Podnieśli go półprzytomnego i przywiązali do siodła. Kobiety zaczęły płakać, mężczyźni mruzczeni przekleństwa i zaciskali pięści, bezsilni wobec brutalności i bezprawia. Belmont macał po kieszeniach, szukając rewolweru, wtem przypomniał sobie, że go oddał pannie Adams. Gdyby jego ręka poczuła w tej chwili broń, oznaczałoby to śmierć emira i rzeź wszystkich pojmanych.

I znowu jechali, a przed nimi tymczasem rozegrało się jedno z najciekawszych zjawisk pustyni egipskiej mimo, że po sponiewieraniu pułkownika, niezbyt byli usposobieni do podziwiania uroków przyrody. Kiedy słońce zaszło, niebo przybrało barwę fioletowo-burą. Ale po pewnym czasie zaczęło jaśnieć i świecić, aż wykwitła z niego pozorna zorza i zdawało się, że słońce, chwając się, powraca wstecz po drodze, którą niedawno odbyło. Różowość zalała zachód, na wyższym krańcu przechodząc w delikatny morski seledyn. Powoli barwy zgasły i zapadła noc. Upłynęły dopiero dwadzieścia cztery godziny, od chwili, gdy na salonowym pokładzie *Koroska*, w wygodnych fotelach, w świetle gwiazd rozprawiali o polityce; zaledwie dwanaście godzin, odkąd po wczesnym śniadaniu ruszyli rześcy i strojni na ostatnią wyprawę. Jakież ogrom nowych wrażeń spadł na nich od tej chwili! Jak brutalnie wytracono ich z tak, zdawało się, niezawodnej szczęśliwości. Te same gwiazdy, na które patrzyli wczoraj, świecą i dzisiaj, ten sam wąski sierp księżycy, a oni? Co za straszna odmiana!

Długi sznur wielbłądów posuwał się przez pustynię, bezszelestnie, jak duchy. Przed sobą i za sobą nieszczęśnicy widzieli ciche i kołyszące się białe postaci Arabów. Znikąd żadnego dźwięku, najłżejszego szmeru. Nagle gdzieś z dali dobiegł silny, natarczywy, nieczysty śpiew. Jakież przedziwne wrażenie w tej głuchej dzicy! A układał się śpiew ów w dobrze znany rytm, nieomal, że słysząc było słowa:

*Co noc wędrownie rozbijamy namioty
Blizsi o dzień od domu.*

Czy ksiądz odzyskał przytomność? Czy tylko dziwny zbieg okoliczności sprawił, że w obłędzie swoim wybrał właśnie tę melodię? Towarzysze oglądali się za siebie w ciemności wilgotnymi oczami, bo wiedzieli, że dla tego wędrownika dom jest już bardzo blisko. Stopniowo głos cichł, aż wsiąknął we wszechwładną głuszę pustyni.

— No cóż, stary pocziwczę, liczę, że nic ci złego nie zrobili? — rzekł Belmont, kładąc rękę na kolanach pułkownika.

Pułkownik wyprostował się, chociaż jeszcze trochę dyszał.

— Już teraz mi dobrze. Czy nie zechciałby mi pan pokazać człowieka, który mnie uderzył?

— To tamten, przed nami, koło wielbłąda Fardeta.

— Ten młody z wężami. Nie bardzo go widzę w tym świetle, ale myślę, że go jeszcze dostanę. Dziękuję panu.

— Myślałem, że strzaskał panu żebra.

— Nie, ale tak mnie wytłukł, że prawie ducha wyzionął.

— Jest pan człowiekiem z żelaza. To było straszne uderzenie. Jak pan zdołał tak prędko przyjść do siebie?

— Otóż, drogi panie — wiem, że pan to zatrzyma dla siebie, zwłaszcza idzie mi o kobiety — ale pierwszy raz czuję się stary i widzę, że tracę postawę, którą zawsze tak sobie cenilem.

— Co? Gorset? Boże święty! — krzyknął osłupiały Irlandczyk.

— Dobra sztuczna podpora — odpowiedział sucho pułkownik i skierował rozmowę na temat jutrzejszych perspektyw.

Dotąd jeszcze znajomym naszym wraca w snach wspomnienie nocnego pochodu przez pustynię. On sam był jak sen, dzięki cichości z jaką ich niesły włochate, miękkie nogi wielbłądów i dzięki majaczącym wokół nich białym postaciom. Niebo wisiało nad nimi, niby potworny zegar. Jakaś gwiazda migotała na samym horyzoncie jak latarnia. Spojrzeli: podniosła się na szerokość dłoni, a pod nią błyszczała inna. Godzina za godziną szeroki strumień płynął bez drgnięcia po granatowym tle, światy i gwiazdozbiory sunęły majestatycznie i lały się przez ciemny horyzont. Ten ogrom i wielkość były niejako pociechą dla nieszczęśliwych, bo ich własny los i osoby zdały się znikome i bez znaczenia wobec najwyższych potęg. Powoli wielka procesja przemierzała niebo, wznosiła się, potem, przez pozorną powolność obrotu, trzymała się długo na dużej wysokości, wreszcie zaczęła się spuszczać, dopóki na wschodzie nie pojawiła się pierwsza zimna szarość i w tej szarości więźniowie przerazili się nawzajem strasznym wyglądem swoich bladych twarzy.

Dzień nękał ich upałem, a noc przyniosła jeszcze większą udrękę — zimno. Arabowie opatulili się w burnusy i poowijali głowy. Oni zaś bili się rękami dla rozgrzewki i marzli niemiłosiernie. Najbardziej cierpiała panna Adams, bo była chuda a z powodu wieku krew krążyła jej wolno. Stephens zdjął z siebie kurtkę i zarzucił jej na ramiona. Jechał obok Sadie, gwizdał i wygadywał, jak gdyby chciał pokazać, że ciotka zrobiła mu przysługę, kładąc jego ubranie, w rzeczywistości jednak doskonale widać było, że nadrabia miną. Wszakże było w tym trochę prawdy — mniej od innych czuł zimno, bo w sercu palił mu się ogień i dziwna radość mieszała do wszystkich klęsk, tak, że nie umiałby odpowiedzieć, czy ta przygoda była największym przekleństwem, czy największym błogosławieństwem w jego życiu. Na statku wobec młodości Sadie, jej urody, wesołości i inteligencji, uważał, że w najlepszym razie może być tolerowany. Ale tu poczuł, że naprawdę może jej się na coś przydać, że zwraca się do niego jak do naturalnego swego opiekuna, a nade wszystko sam zdobył przeświadczenie, że pod całym balastem, jakim przytłoczyła go sztuczna tresura, jest silnym i do życia stworzonym człowiekiem. Małeńka iskierka szacunku dla samego siebie zaczęła rozgrzewać mu krew. Zmarnował, co prawda, swoją młodość, ale teraz, kiedy był już człowiekiem w wieku średnim, zajaśniała ona przed nim jak piękny, późny pąk.

— Zdaje się, że pana to wszystko cieszy — zwróciła się do niego Sadie z pewnym wyrzutem.

— Cieszy, to za mocno powiedziane — odrzekł. — Ale jestem pewny, że pani bym tu nie opuścił.

Było to pierwsze cieplejsze zdanie, na jakie sobie pozwolił wobec niej i Sadie spojrzała na niego zdziwiona.

— Widzę, że byłam przez całe życie złą dziewczyną — zaczęła mówić po chwili. — Ponieważ mnie samej było dobrze, nie myślałam o nieszczęśliwych. Dziś przejrzałam. Jeżeli tylko wrócę, będę lepszą, poważniejszą kobietą.

— A ja lepszym człowiekiem. Myślę, że właśnie dlatego spotykają nas nieszczęścia. Niech pani spojrzy, jak wyszły na jaw zalety naszych towarzyszy. Biedny ksiądz, na przykład. Czy przeczulibyśmy kiedykolwiek, że to taki szlachetny, mocnych zasad człowiek? A Belmont i żona, tu przed nami, jak bez trwogi jadą, trzymając się za ręce, każde tylko z myślą o drugim. Albo pułkownik, który na statku wydawał się zawsze taki nieprzystępny, taki ograniczony. Widzieliśmy jego odwagę i niesamolubne narażanie się dla innych. I Fardet jest waleczny jak lew. Myślę, żeśmy wszyscy zyskali przez nieszczęście.

Sadie westchnęła.

— Jeżeli się to wszystko dobrze skończy, będziemy mogli tak powiedzieć. Ale jeżeli tak ma trwać parę tygodni czy miesięcy, aby potem skończyć się śmiercią, nie wiem, jaką korzyść odniesiemy z naszego wyszlachetnienia. Dajmy na to, że pan z tego wyjdzie, co pan ma zamiar robić?

Advokat zawahał się, ale jego zawodowy nałóg był jeszcze bardzo silny.

— Zbadam, jaka to jest sprawa i przeciwko komu. Czy odpowiedzialni są organizatorzy wycieczki, że nas zawieźli do Abusir, czy rząd angielski, że nie pilnuje granic. To będzie bardzo ciekawy proces. A jakie pani ma projekty, Sadie?

Po raz pierwszy nie zatytułował jej urzędowo „panną Sadie”, ale ona była zbyt przejęta, żeby to zauważyć.

— Będę lepsza dla innych — odparła. — Postaram się kogoś uszczęśliwić ze względu na pamięć nędzy, z której wyszłam.

— Pani przez całe życie nic innego nie robiła, prócz uszczęśliwiania innych. Nie potrzebuje się pani uczyć tego. — W ciemności łatwiej mu było przełamać zwykły obojętny ton. — Pani ta twarda szkoła jest mniej potrzebna, niż komukolwiek. W jaki sposób pani charakter mógłby wyszlachetnieć?

— Widać, jak pan mało mnie zna. Byłam zawsze bardzo samolubna i lekkomyślna.

— W każdym razie nie potrzebowała pani takich mocnych przeżyć. Była pani zawsze i bez nich dosyć wrażliwa. Co innego ja.

— A do czego panu potrzebne tak mocne przeżycia?

— Bo nic nie ma gorszego od martwoty. Już lepsze jest cierpienie. Ja dopiero teraz zacząłem żyć. Dotychczas byłem na tym świecie maszyną. Byłem człowiekiem jednostronnym, a człowiek jednostronny ledwie o włos różni się od człowieka umarłego. To właśnie zrozumiałem dzisiaj. Bo przez te wszystkie lata niczym się nigdy nie przejąłem, nigdy nie wezbrała we mnie fala prawdziwych ludzkich wzruszeń. Nie miałem na to czasu. Widziałem to u innych i zadawałem sobie pytanie, czy jest we mnie jakiś brak, który nie pozwala mi dzielić doświadczeń moich bliźnich. Ostatnie dni jednak pokazały mi, że i ja mogę żyć bujnym życiem, że i ja jestem zdolny do płomiennych nadziei i do śmiertelnych trwóg, że i ja mogę, że i ja mogę — tak — że i we mnie są silne uczucia, które dusza mogłaby przeżyć. Stoję może nad krawędzią grobu, ale w każdym razie mogę powiedzieć, że żyłem.

— A dlaczego prowadził pan takie zabójcze życie w Anglii?

— Byłem ambitny, pragnąłem się wybić. A przy tym musiałem myśleć o matce i siostrach. Dzięki Bogu, świta. Ciocia i pani przestaną marznąć.

— A jak się pan czuje bez marynarki?

— O, ja jestem zdrow jak ryba. Mnie tak jest doskonale. Długa, ciężka noc mijała. Granatowe niebo przeszło w precudny liliowy cień, przez który jeszcze przebijały większe gwiazdy. Na wschodzie szary pas rozszerzał się coraz bardziej i zachodził lekkim różem, a na nim wachlarzowato rozstrzeliwały się i drżały promienie niewidzialnego słońca.

Nagle jadący poczuli ciepłe dotknięcie na plecach, a przed nimi wyskoczyły na piasku czarne cienie. Derwisze pozrzucali płaszcze, podniósł się gwar rozmów. I więźniowie poczęli ożywiać się i zajadali chciwie dorę, którą dostali na śniadanie. Zarządzono krótki odpoczynek i wszyscy dostali po kubku wody.

— Czy mogę z panem pomówić, panie pułkowniku? — zapytał dragoman.

— Nie — odburknął Cochrane.

— Ale to coś bardzo ważnego, od tego zależy nasze ocalenie.

Pułkownik zmarszczył brwi i targnął wąsa.

— Co to takiego? — spytał nareszcie.

— Pan powinien mi ufać, bo mnie tak samo jak panu zależy na tym, żeby wrócić do Egiptu. Mam tam dom, żonę, dzieci, a tu niewolę. Pan przecież nie ma powodu o tym wątpić.

— No, co dalej?

— Pan pamięta tego czarnego, który z panem rozmawiał? Tego, który służył pod Hicksem?

— Tak, bo co?

— Rozmawiałem z nim w nocy. Długo to trwało. Powiada, że nie bardzo może pana zrozumieć, ani pan jego. Dlatego przyszedł do mnie.

— Co takiego mówił?

— Powiedział, że między Arabami jest ośmiu żołnierzy egipskich, sześciu czarnych i dwóch fellahów. Mówił, że jeżeli pan im przyrzeknie duże wynagrodzenie, to oni państwu pomogą uciec.

— Przyrzekam, rozumie się.

— Żądali po sto funtów egipskich na każdego.

— Dostaną.

— Powiedziałem, że się pana zapytam, ale jestem pewny, iż pan się zgodzi.

— Jak oni to planują?

— Nie mogli nic obiecać, ale myślę, że najlepiej będzie, jeżeli będą się trzymali ze swymi wielbłędami blisko państwa tak, że gdyby coś się nadarzyło, będzie można od razu skorzystać.

— Dobrze. Możesz obiecać każdemu po dwieście funtów, jeżeli nam dopomogą. Czy nie myślisz, że można by przekupić kilku Arabów?

Manzor zaprzeczył ruchem głowy.

— To ryzykowna próba. Jeśli spróbujemy i nie uda się, to będzie to nasz koniec. Idę powtórzyć im, co pan powiedział.

Powlókł się do czarnego ex-artyleryzisty, który czyścił wielbłąda, czekając na odpowiedź.

Emirowie zamierzali odjechać najdalej za pół godziny, ale wielbłądy pociągowe, na których jechali więźniowie, były tak pomęczone forsownym marszem, że okazało się wprost niepodobieństwem ruszyć z miejsca. Leżały z szyjami wyciągniętymi na ziemi, co jest dowodem ostatecznego wyczerpania. Obaj dowódcy kiwali głowami na ich widok, a straszny starzec wpatrywał się w więźniów swoją drapieżną, kamienną twarzą. Potem powiedział coś do Manzora, którego twarz zbieleła jeszcze bardziej na jego słowa.

— Emir Abderrahman powiada, że jeżeli państwo nie nawrócą się na islam, to nie oplaca się łamać szyku karawany i oddawać wam wielbłądów pociągowych. Gdyby nie państwo, można by jechać dwa razy prędzej. Dlatego chce wiedzieć i to zaraz, w tej chwili, czy uznacie Koran. — A potem tym samym tonem, jakby jeszcze tłumaczył, ciągnął: — Lepiej, żeby państwo się zgodzili, bo inaczej, śmierć pewna.

Nieszczęśni więźniowie patrzyli po sobie z rozpaczą. Obaj emirowie śledzili ich z uwagą.

— Co do mnie — zaczął Cochrane — wszystko mi jedno, czy mam zaraz umrzeć, czy być niewolnikiem w Chartumie.

— A ty co powiesz Noro? — zapytał Belmont.

— Jeżeli umrzemy razem, John, myślę, że się nie będę bała.

— To absurd, żebym umierał za to, w co nigdy nie wierzyłem — mówił Fardet. — A jednak honor nie pozwala Francuzowi nawracać się w ten sposób. — Stał w dumnej pozie, zatknął zranioną rękę za tużurek i wykrzykiwał: — *Je suis chrétien. J'y reste* — z elegancją, ale i z fałszywą nutą w każdym zdaniu.

— A co pan? — zapytał Manzor Stephensa błagalnym głosem. — Jeżeli pan się nawróci, to ich wprawi w dobry humor. — Zaklinam, niech pan zrobi, jak żądają.

— Nie, nie mogę — odpowiedział spokojnie adwokat.

— To może pani, panno Sadie? Może panna Adams? Trzeba tylko powiedzieć to od razu, a będą panie uratowane.

— O, ciociu, czy naprawdę? — jęczała wystraszona dziewczyna. — Czy byłoby takim wielkim grzechem to powiedzieć?

Ciotka objęła ją ramieniem.

— Nie, nie, maleństwo moje, odwagi! Sama byś się za to kiedyś znieawidziła. Trzymaj się mnie i módl się dziecko, jeżeli cię siły opuszczą. Stara ciotka cały czas będzie cię trzymała za rękę.

Na chwilę ci zmaltretowani poszukiwacze wrażeń stali się bohaterami. Wszyscy patrzyli w twarz śmierci, a im bardziej z bliska ją widzieli, tym mniej się bali. Czuli raczej pewnego rodzaju ciekawość, nerwowy dreszcz, z jakim zwykle siadamy na fotelu u dentysty. Dragoman uczynił ruch rękoma, jak człowiek, który próbował i chybił. Emir Abderrahman powiedział coś do Murzyna, który oddalił się pędem.

— Jakie mu do tego nożyczki potrzebne? — zapytał pułkownik.

— Poszedł, bo chcą okaleczyć kobiety — objaśnił Manzor z tym samym gestem niemocy.

Mróz przeszedł im przez kości. Patrzyli po sobie z tępym przerażeniem. Co innego sama śmierć, a co innego te ścinające krew szczegóły. Byli pewni, że każdy z osobna zniesie wszystko, ale ich serca przejęte były i losem pozostałych.

Kobiety milczały, wśród mężczyzn natomiast gotowało się.

— Pani ma pistolet — mówił Belmont. — Proszę o niego, nie damy się torturować.

— Obiecuj im pieniądze, Manzorze — krzyczał Stephens. — Obiecuj im wszystko. Słuchaj, przyjmę islam, jeżeli przyrzekną puścić panie. Przecież to ostatecznie do niczego nie zobowiązuje. To jest pod przymusem, ale nie pozwolę dręczyć kobiet.

— Niech pan poczeka chwilę — uspokajał pułkownik — nie wolno nam tracić głowy. Zdaje się, że mam sposób. Słuchaj, dragoman, powiesz temu staremu szatanowi, że my jeszcze zupełnie nie znamy jego parszywej religii. Tylko określisz to delikatniej. Powiesz, że nie możemy jej przyjąć, dopóki nie wiemy, co to jest to plugastwo, w które chce, żebyśmy uwierzyli. Powiesz, że gdyby zechciał nas pouczyć, bardzo chętnie posłuchalibyśmy jego wykładu, a możesz dodać, że wiara, która wydaje takie cuda, jak jego i tę drugą czarnobrodą maskarę, zasługuje na wielką uwagę.

Wśród pokłonów i błagalnego składania rąk dragoman wyjaśnił, że chrześcijanie są już pełni wątpliwości i że trzeba jeszcze tylko trochę światła wiedzy, żeby ich wprowadzić na drogi Allaha. Emirowie gładzili brody i patrzyli na siebie podejrzliwie. Wreszcie Abderrahman powiedział dragomanowi coś swoim zwykłym szorstkim głosem i obaj oddalili się. Wkrótce potem róg dał znak do wsiadania.

— Powiada — mówił Manzor, jadąc między więźniami — że koło południa dojedziemy do źródeł i tam się zatrzymamy. Jego własny muła, bardzo dobry i uczony człowiek, przyjdzie do

państwa na godzinę nauki. Wtedy wybieriecie jedno lub drugie wyjście. Według tego rozstrzygną, czy wieźć was do Chartumu, czy skazać na śmierć. To jest jego ostatnie słowo.

— O okupie nie mówią?

— Wad Ibrahim wzięłby, owszem, ale emir Abderrahman to straszny człowiek. Radzę państwu nie sprzeciwiać mu się.

— Ty sam co zrobiłeś? Także jesteś chrześcijaninem? Twarz Andora zalała się ogniem.

— Byłem wczoraj rano. Może jutro rano będę znowu. Służę Panu póki to, czego żąda, jest rozsądne, ale tu stało się inaczej.

Odjechał między strażników ze swobodą, która dowodziła, że po zmianie religii przebywa tu na zupełnie innej stopie, niż wszyscy więźniowie.

Tak więc zarobili parę godzin zwłoki, chociaż jechali ciągle pod grozą śmierci. Co jest takiego w życiu, że się go tak wszyscy czepiamy? Nie rozkosze przecież, bo i ci, dla których istnienie jest drugą męką, cofają się z krzykiem, gdy śmierć–uśmiericielka wyciąga ku nim dobroczynne ramiona. Nie więzi z innymi, bo zmieniamy je wszystkie, nim przebieżymy tę szeroką drogę, aż po kres, którego nie uniknie żaden syn ani córka człowiecza. To strach przed zagubieniem siebie, tego najdroższego wewnętrznego „ja”, które pozornie tak dobrze znamy, choć ono wiecznie dokonuje czynów najzupełniej dla nas samych niespodziewanych. Dla niego to zdecydowany samobójca wiesz się rozpaczliwie u tamy, na którą go rzeka rzuciła. A może to przyroda tak się lęka, żeby wszyscy utrudzeni pracownicy nie porzucili od razu narzędzi i nie przerwali roboty, i w ten sposób trzyma ich przy warsztacie? Dość, że tak jest i ci skołatani, nieszczęśliwi ludzie cieszyli się z owych kilku krótkich godzin życia, jakie im jeszcze pozostawiono.

ROZDZIAŁ VII

Kiedy tak posuwali się naprzód nie napotykali na swojej drodze niczego, co wskazywałoby, że jest to jeszcze to samo miejsce, w którym wczoraj wieczorem zastał ich zachód. Pas fantastycznych, czarnych pagórków z pomarańczowymi plamami piasku — dobrze im znane obramowanie rzeki — dawno już się skończył. Teraz ze wszystkich stron otaczała ich bura, falista, zwirowata pustynia, o grzywach z toczonych, lśniących krzemieni, gdzieś z lichą kępą trawki wielbłądziej. I tak było aż po skraj widnokregu, aż do owej wznoszącej się nieco linii błękitnawych wzgórz. Słońce nie weszło dotąd bardzo wysoko, dzięki czemu nie raziło jeszcze tak jak wczoraj i cały rozległy, płowy krajobraz w liliowej oprawie jawił się w nieskazitelnie czystym i suchym powietrzu. Długa karawana wlokła się w takt ocieężałych kroków wielbłądów pociągowych. Daleko na skrzydłach jechały podjazdy, przepatrując pustynię z rękami przy oczach. Z daleka wyglądało to, jak gdyby dzidy i karabiny wyrastały wprost z postaci Arabów, proste i cienkie, niby druty do pończoch.

— Pana zdaniem, jak daleko jesteśmy od Nilu? — zapytał Cochrane. Jechał z głową wciśniętą w ramiona i wzrokiem utkwionym badawczo we wschodni skraj widnokregu.

— Z dobre pięćdziesiąt mil — odpowiedział Belmont.

— Nie sądzę — zaprzeczył pułkownik. — Nie jechaliśmy w sumie dłużej niż piętnaście czy szesnaście godzin, a wielbłąd, o ile nie idzie klusem, nie robi więcej niż dwie i pół mili na godzinę. Byłoby to razem dopiero czterdzieści mil, ale i tak się boję, że na odbicie nas jest już za późno. Nie wiem, czyśmy wiele wskórali przez tę zwłokę. Na co możemy jeszcze liczyć? Nie ma co, trzeba się będzie pogodzić z losem.

— Nigdy w życiu! — uniósł się mężny Irlandczyk. — Mamy jeszcze masę czasu do południa. Hamilton i Hedley z Korpusu Wielbłądziejego to zuchy chłopaki, na pewno lecą za nami jak strzała. Przy tym ich nie hamują wielbłądy pociągowe, może pan polegać na nich. Byłem przecież u nich na obiedzie onegdaj i opowiadali mi, jakie mają środki przeciwko napadom tak, że według mnie możemy na nich liczyć.

— Wolno panu ufać, ale co do mnie, nie mam zbyt wielkich nadziei — odparł Cochrane. — Inna sprawa, że musimy nadrabiać miną wobec pań. Widzę, że Tippy Tilly jest porządnym chłopcem i dotrzymał słowa, bo tych pięciu Murzynów i dwóch białych z nimi, to muszą być ludzie, o których mówił. Trzymają się wszyscy razem, to prawda, ale nie wiem, w jaki sposób mogliby nam pomóc.

— Dostałem z powrotem pistolet — szepnął Belmont, a jego mocny kwadratowy podbródek wydawał się w tej chwili wykuty z granitu. — Jeżeli tylko ośmielą się zbliżyć do kobiet, położę własnoręcznie tych wszystkich trzech, a potem już będziemy mogli umrzeć łatwiej.

— Kochany z pana człowiek — rzekł Cochrane i jechali dalej w milczeniu. W ogóle nikt nie miał ochoty do rozmowy. Ogarnęło ich senne odrętwienie, jakby po narkotyku. To organizm sam dostarcza nam swoje naturalne uśmierzające środki, ilekroć jakieś wrażenie zbyt silnie wstrząśnie nam nerwy. Myśleli o przyjaciółach swoich i o dawnym życiu w sposób, w jaki je zawsze widzimy, kiedy się już dopełniło. Nieuchwytna słodycz mieszała się z grozą ich przeznaczeń. Pełni byli jednocześnie spokoju i rozpaczy.

— Tu jest diabelnie pięknie — zauważył, rozglądając się, pułkownik. — Miałem zawsze przeczucie, że umrę w pocziwej, rudej, prawdziwie londyńskiej mgle. Nie można było zrobić gorszej zamiany.

— A ja zawsze chciałam umrzeć we śnie — rzekła Sadie. — Jak to musi być cudownie, obudzić się i znaleźć w innym świecie! Pamiętam dotąd wiersz, który Hetty Smith deklamowała na pensji: „Nie mów dobranoc, ale życz mi powitania w jakiejś piękniejszej krainie.”

Purytanka ciotka pokiwała głową na tę myśl.

— Straszna to rzecz stanąć nieprzygotowanym przed obliczem Stwórcy.

— W śmierci tylko rozłączenie jest straszne — sprostowała pani Belmont. — Gdybyśmy mogli umierać jednocześnie z tymi, których kochamy, mielibyśmy co najwyżej wrażenie, że zmieniamy mieszkanie.

— Jeżeliby miało przyjść nawet najgorsze — zapewnił mąż — nie będziemy rozłączeni. Pójdziemy wszyscy razem i spotkamy, czekających po tamtej stronie Browna, Headingly'ego i księdza.

Francuz wzruszył ramionami. Nie wierzył w życie pozagrobowe, ale zazdrościł katolickiej parze, że może te rzeczy brać tak dosłownie. Śmiać mu się chciało na myśl, iż jego przyjaciele z Cafe Cubat powiedzą, że położył życie za wiarę chrześcijańską. Chwilami bawiło go to, chwilami drażniło niewypowiedzianie, więc jechał w zmiennym nastroju, popadając to w śmiech, to w rozpacz, a cały czas tulił i pieścił chorą rękę, jak matka.

Skroś burej, zwirowej pustyni widać było od pewnego czasu długi żółty pas, ciągnący się z północy na południe, jak daleko oko sięgało. Była to wstęga piaszczysta, nie szersza niż na kilkaset jardów, a w niektórych tylko miejscach dochodząca do ośmiu lub dziesięciu stóp wysokości. Ale więźniowie zauważyli ze zdziwieniem, że Arabowie pokazują ją sobie z wyrazem najwyższego zakłopotania i że zatrzymują się, doszedłszy do owego pasa, jakby nad brzegiem nieprzebytej rzeki. Był to jasny, lotny piasek, który przy najłżejszym powiewie unosił się w powietrze, kołując jak chmura komarów. Emir Abderrahman spróbował wjechać weń wielbłądem, ale zwierzę po paru krokach stanęło, drżąc ze strachu. Dwaj wodzowie rozmawiali ze sobą przez chwilę, po czym cała karawana pociągnęła na południe, zostawiając piaszczysty pas po lewej ręce.

— Co to znaczy? — zapytał Belmont dragomana, który akurat jechał koło niego.

— Lotne piaski — odpowiedział Manzor. — Co pewien czas wiatr je nanosi w jakieś miejsce, tak jak tutaj. Jutro, jeżeli zawieje, może nie zostać ani pyłku, ale wszystko pójdzie w powietrze. Arabowie muszą nieraz nakładać po pięćdziesiąt i sto mil, żeby okrążyć zaspę. Gdyby próbowali przebić się, wielbłądy połamałyby nogi, a oni mogliby się podusić w zawierusze.

— Jak długi może być ten pas?

— Nie wiadomo.

— Widzi pan, panie pułkowniku, dla nas to się dobrze składa. Im dłuższa wydma, tym lepiej dla wypoczętych wielbłądów — i po raz setny obejrzał się za siebie po nieogarnionym widnokregu. Leżała za nimi wielka, głucha, brunatna pustynia, ale ani śladu błysku stali czy białych hełmów, za którymi tak tęsknili.

Bardzo prędko wyszło na jaw niebezpieczeństwo nowej przeszkody. Zakotłowało się od razu w powietrzu bez żadnego powodu, jak gdyby w pustym pokoju ktoś dmuchnął w smugę kurzu. Ciekawa rzecz, że chociaż chwilami zaspą była tak wąska, iż można ją było przesadzić jednym susem, Arabowie woleli nadkładać drogi, niż zaryzykować przejście.

Kiedy znaleźli się znowu na pewnym gruncie, zacięto wielbłądy i karawana puściła się truchtem, przez co nieszczęśni jeńcy zaczęli się kurczyć i podrygiwać w komiczny i godny pożałowania sposób. Na razie było to dosyć zabawne i uśmiechali się do siebie, ale wkrótce zabawa stała się męczarnią: ból we wszystkich kościach, łamanie w krzyżu, które wkrótce okazało się nie do zniesienia.

— Nie mogę już wytrzymać, Sadie — żaliła się panna Adams. — To ponad moje siły. Spadnę.

— Nie, nie ciociu, możesz sobie coś złamać, upadając. Jeszcze trochę cierpliwości, może się zatrzymają.

— Niech pani się przechyli w tył i trzyma się siodła za sobą — pospieszył z radą pułkownik. — Zobacz pani, że będzie o wiele mniej podrzucało. — Zdjął woal z kapelusza i zwiąawszy końce, wsunął go na przednią kulę siodła. — Niech pani włoży nogę w tę pętlę, będzie pani miała wrażenie, że to strzemię.

Ulga była natychmiastowa, toteż Stephens zrobił to samo dla Sadie. Ale w tej samej chwili jeden z wycieńczonych wielbłądów osunął się z łoskotem i karawana powróciła do poprzedniego, umiarkowanego tempa.

— Czy to nowa ławica lotnych piasków? — spytał niespodzianie pułkownik.

— Nie, to coś białego — zauważył Belmont. — Manzor, słuchaj, co to widać przed nami?

Ale dragoman pokręcił głową.

— Nie wiem, co to jest, panie. Nigdy w życiu nic podobnego nie widziałem.

Prosto, jak strzelił, z północy na południe, biegła biała linia, jakby ją kto kredą narysował na brązowej tablicy. Była bardzo wąska, ale ciągnęła się bez przerwy od krańca do krańca widnokrzęgu. Tippy Tilly powiedział coś do dragomana.

— To wielka droga karawan — powtórzył Manzor.

— A dlaczego w takim razie jest biała?

— Od kości.

Zdawało się to nieprawdopodobne, a jednak było prawdą, bo kiedy przyjechali bliżej, zobaczyli trakt wyłobiony przez długie jazdy, a tak całkowicie zasypyany kośćmi, że wyglądał jak nieprzerwana biała wstęga. Czaszki zwierzęce były wszędzie rozsiane, a żebra leżały tak blisko jedne drugich, że chwilami robiły wrażenie szkieletu potwornego węża. Nieskończony gościniec błyszczał w słońcu jakby wybrukowany kością słoniową. Od tysiącleci był to główny trakt przez pustynię i przez cały ten czas suche, nieskazitelne powietrze konserwowało wszystkie stworzenia, które padły w szeregach niezliczonych karawan. Nie dziw więc, że prawie niepodobna było jechać tędy, nie depcząc po szkieletach.

— To musi być droga, o której mówiłem — powiedział Stephens. — Pamiętam, że zaznaczałem ją na mapie, którą przygotowałem dla pań. Baedeker pisze, że wyszła z użycia, odkąd, z panowaniem derwiszów, zamarł wszelki handel, ale swego czasu był to wielki trakt, którym sprowadzano skóry i gumę z Darfuru do Dolnego Egiptu.

Widok nie wzbudził zbytniego zainteresowania — zanadto byli przejęci swym losem. Karawana skręciła na południe wzdłuż starego szlaku, a ta koścista Kalwaria wydała im się godną aleją, wiodącą do przewidywanego końca. Utrudzone wielbłądy i utrudzeni jeźdźcy wlekli się razem ku swojej żalostnej mecie.

W miarę, jak się zbliżał krytyczny moment, który miał zadecydować o ich losie, pułkownik Cochrane, trapiiony myślą o tym, co może czekać kobiety, postanowił zrzucić dumę z serca i zasięgnąć rady renegata dragomana. Był to lichy człowiek i tchórz, ale w każdym razie pochodził ze Wschodu i rozumiał arabski sposób patrzenia na świat. Dzięki zmianie religii znalazł się w bliższym kontakcie z derwiszami i może słyszał ich poufne rozmowy. Sztywna, arystokratyczna natura Cochrane'a walczyła ze sobą ciężko, zanim zdobył się na to, aby zwrócić się po radę do takiego człowieka, a kiedy się nareszcie przełamał, uczynił to tonem najbardziej cierpkim i niezyczliwym, jaki tylko można sobie wyobrazić.

— Znasz tych szubrawców i masz ten sam pogląd na sprawy — mówił. — Nasz interes wymaga, żeby jeszcze przeciągnąć rzecz o dwadzieścia cztery godziny. Wtedy już wszystko jedno, co nas spotka, bo będziemy poza granicami możliwej odsieczy. Ale jak można by jeszcze zwlec do jutra?

— Zna pan moją radę — odparł dragoman — już ją panu przedstawiłem. Jeżeli państwo wszyscy zrobią to, co ja, na pewno żywi znajdą się w Chartumie. Jeżeli nie, niewątpliwie nie wyjdziecie z życiem już z najbliższego postoju.

Brwi zbiegły się nad orlim nosem pułkownika i jego chude policzki zaszły gniewną łuną. Przez chwilę jechał w milczeniu, bo z natury był niezmiernie porywczy, co w obecnej sytuacji jeszcze się zaostrzyło. Minęło sporo czasu, zanim zdołał się zmusić do odpowiedzi.

— O tym nie mówmy — odezwał się wreszcie. — Są rzeczy możliwe i niemożliwe. Ta jest niemożliwa.

— Przecież wystarczy udawać.

— Dostyc tego — przerwał szorstko pułkownik. Manzor wzruszył ramionami.

— Po co się pan mnie pyta, kiedy się pan gniewa, jak odpowiadam. Jeżeli pan nie chce zrobić, jak radzę, to niech pan sam coś wymyśli. Zresztą nie może pan zaprzeczyć, że robiłem dla państwa, co mogłem.

— Nie gniewam się — odpowiedział pułkownik po chwili, łagodniejszym już głosem — ale to oznaczałoby grzęznąć jeszcze bardziej, a nie szukać wyjścia. Ja mam taką myśl. Możesz, jeżeli zechcesz, dać do zrozumienia temu księdzu, czy mulle, który się do nas wybiera, że my naprawdę trochę już zmiękleliśmy w tej sprawie. Biorąc pod uwagę nasze położenie, sądzę, że nie ma w tym nic podejrzanego. A potem, kiedy przyjdzie, możemy odegrać komedię i niby to naprawdę udawać zainteresowanych, prosić o dalsze wyjaśnienia i w ten sposób przewlec sprawę o dzień czy dwa. Jak myślisz, czy to nie byłoby najlepsze wyjście?

— Niech pan robi co pan uważa za właściwe — rzekł Manzor. — Ja już panu powiedziałem, co myślę. Jeżeli pan chce, żebym pomówił z mulłą, zrobię to naturalnie. To ten gruby, niski jegomość z siwą brodą, na brunatnym wielbłądzie. Muszę pana uprzedzić, że ma między nimi sławę jako specjalista od nawracania i jest wielce dumny z tego, toteż lepiej, żeby nawracając państwa, nie czuł, że robi wam krzywdę.

— Więc powiedz mu w takim razie, że jesteśmy zupełnie gotowi — mówił pułkownik. — Nie przypuszczam, aby *padre* mógł zająć tak daleko, ale teraz, kiedy umarł, możemy sobie pozwolić na podobną przesadę. Pomów z nim, Manzorze, a jak się dobrze sprawisz, chętnie zapomnimy ci przeszłość. Przy okazji: czy Tippy Tilly nic ci nie mówił?

— Nie, panie. Zebrał swoich ludzi, ale dotąd nie widzi, w jaki sposób mógłby państwu pomóc.

— I ja też nie widzę. No, idź do mulły, a ja powiem innym, cośmy uradzili.

Wszyscy jeńcy przystali na plan pułkownika, z wyjątkiem panny Adams, która kategorycznie odmówiła okazania jakiegokolwiek zainteresowania dla wiary mahometańskiej.

— Za stara już jestem, aby zgiać kolano przed Baalem — mówiła. Największym ustępstwem, do jakiego udało się ją nakłonić, było, że nie będzie się jawnie sprzeciwiała niczemu, co mają mówić towarzysze.

— A kto będzie dyskutował z tym księdzem? — zapytał Fardet, kiedy jechali wszyscy razem dla omówienia przedmiotu. — Jest bardzo ważne, żeby to wyglądało zupełnie naturalnie, bo jeżeli pozna, że idzie nam jedynie o zwłokę, nie będzie chciał w ogóle z nami mówić.

— Myślę, że będzie mówił pułkownik, ponieważ to jego pomysł — odpowiedział Belmont.

— Proszę mi wybaczyć — zawołał Francuz. — Nie chcę nic powiedzieć przeciwko naszemu kochanemu pułkownikowi, ale niepodobna, żeby jeden człowiek był do wszystkiego. Cała rzecz będzie na nic, jeżeli on to weźmie na siebie. Mulła go przejrzy na wylot.

— Czyż tak? — zapytał pułkownik z urazą.

— Tak, drogi panie, niewątpliwie, bo, jak wszyscy pana rodacy, mało pan okazuje sympatii dla przekonań innych ludów i to jest wasza wielka narodowa wada.

— O! Tylko proszę bez polityki — przerwał niecierpliwie Belmont.

— To nie polityka. To czysto praktyczna rada. Jak może pułkownik wmówić mulle, że jest ciekaw jego religii, kiedy naprawdę nie ma dla niego na świecie wiary poza kapliczką, w której się wychował? Mam właśnie co do pułkownika specjalne przekonanie, że nie jest nic a nic hipokrytą i nie potrafiłby tak grać, żeby oszukać tego Araba.

Pułkownik jechał mocno sztywny i z niewyraźną twarzą człowieka, który nie wie, czy słucha komplementów czy obelg.

— Może pan sam z nim rozmawiać, jeżeli pan sobie tego życzy — wycedził w końcu.

— Przypuszczam, że najwięcej mam do tego danych, ponieważ jednakowo odnoszę się do wszystkich religii. Jeżeli pytam, to dlatego, że naprawdę chcę wiedzieć, a nie, że gram komedię.

— Mam wrażenie, że faktycznie będzie najwłaściwiej, jeżeli pan Fardet podejmie się tej roli — zawyrokowała pani Belmont i to rozstrzygnęło sprawę.

Słońce stało już wysoko i szkielety na drodze bieleły się w oślepiający sposób. I znowu męka pragnienia opadła garstkę rozbitków i znowu, gdy jechali z językami jak kłody i z wyschniętym na kość podniebieniem, jak zjawa niebieska zamigotał przed nimi salon *Koroska*, zobaczyli śnieżny obrus i kartę win przy każdym nakryciu, długie szyje butelek i syfony na kredensiku. Sadie, która dotąd trzymała się doskonale, od razu zaczęła kaprysić, a jej histeryczne krzyki i niezrozumiały śmiech okropnie drażniły im nerwy. Ciotka i Stephens czynili, co mogli, aby ją uspokoić, aż przemęczona, wyczerpana dziewczyna wpadła w jakiś stan pomiędzy snem a omdleniem; zwiesiła się przez siodło tak, że jeśli nie spadła to tylko dzięki kochającym ramionom, które ją z obu stron podtrzymywały. Wielbłądy pociągowe były tak samo zmordowane, jak jeźdźcy i raz po raz trzeba je było chwycić za sznurki od zaprzęgu, żeby nie upadły. Od skraju do skraju zataczał się wielki łuk nieskazitelnego błękitu, a po jego potwornej wklęsłości czołgało się nieublagane słońce, jak wspaniałe, ale okrutne bóstwo, które ofiarę z cierpień człowieka uważa za swoje odwieczne prawo.

Jechali ciągle jeszcze wzdłuż starego traktu handlowego, ale nadzwyczaj powoli i kilkakrotnie emirowie podjeżdżali we dwóch z bardzo poważnymi minami, patrząc na zmaltretowane wielbłądy i ich półżywych jeźdźców. Najgorszą wywłoką był wielbłąd, na którym jechał jeden z rannych żołnierzy sudańskich. Utykał szkaradnie skutkiem nadwyręzonego ścięgna i jedynie ciąglą chłostą można go było utrzymać w równej linii z innymi. Emir Wad Ibrahim wyciągnął rewolwer, kiedy chrome zwierzę przechodziło koło niego i wsadził mu kulę w łeb. Ranny jeździec stoczył się przez ten łeb z wysokiego siodła i upadł ciężko na kości gościńca. Towarzysze niedoli widzieli, jak chwieje się na nogach z zupełnie nieprzytomną twarzą. W tej samej chwili jeden z Arabów ześlizgnął się z wielbłąda z szablą w rękę.

— Proszę nie patrzeć! Proszę nie patrzeć! — krzyczał Belmont na panie i wszyscy zwrócili się twarzami na południe. Nie słyhać było nic, ale po paru minutach Baggara przejechał koło nich. Ocierał szablę o włochatą szyję wielbłąda i spojrzał ku nim przelotnie ze złym błyskiem zębów. Ale ludzie, którzy spadli na samo dno niedoli, są już przynajmniej spokojni o przyszłość. Tak wyzywający uśmiech byłby ich dawniej przejął dreszczem, teraz pozostali niewzruszeni, lub co najwyżej mieli pewne niejasne poczucie doznanej zniewagi.

Gdyby jechali w innym nastroju, mnóstwo rzeczy musiałoby ich zainteresować na starym szlaku handlowym. Raz po raz mijali leżące w gruzach szczątki dawnych budowli, tak sędziwych, że niepodobna było oznaczyć dla nich żadnej daty. Jakieś od wieków znikłe z ziemi narody wzniosły je, aby podróżnym dostarczyć cienia i ochrony przed nieznającymi nigdy prawa synami pustyni. Zmurszałe cegły, z jakich te schroniska były stawiane, wskazywały, że budulec na nie sprowadzano aż znad dalekiego Nilu. Gdzieś na szczycie pagórka sterczał ułamany trzon kolumny z czerwonego assuańskiego granitu, na nim widniał wizerunek któregoś z bóstw egipskich o szeroko rozpostartych skrzydłach, a poniżej płaskorzeźba Ramzesa Drugiego. Po

trzech tysiącach lat nie można minąć obojętnie niezatartych śladów wielkiego króla–wojownika. Jest to na pewno jeden z najciekawszych faktów historycznych, że można patrzeć jeszcze teraz na tę postać o wybitnie egipskim typie, pełną dostojności, z potężnymi ramionami skrzyżowanymi na piersiach, imponującą nawet w ruinie, w muzeum w Gizah.

Dla jeńców płaskorzeźba była posłanniczką nadziei, dowodem, że znajdują się jeszcze na terytorium egipskim.

— Już raz zostawili tu swój bilet, mogą to uczynić znowu — żartował Belmont i wszyscy próbowali się uśmiechnąć.

Niespodziewanie widok stał się dużo miłszy dla oka. Po obu stronach gościńca pojawiać się zaczęły od czasu do czasu małe wysepki zieleni — dowód, że woda gruntowa była płytko pod powierzchnią. Aż wtem droga zapadła się w kolistą jamę z grupą najdelikatniejszych palm i miękką, zieloną murawą na dnie. Ten jasny płat spokojnej zieleni na tle nagiej pustyni świecił jak najczystszy szmaragd w oprawie z polerowanej miedzi. Ale nie tylko jego uroda zachwycała, była to także obietnica na przyszłość: woda, cień — wszystko czego tylko pragnąć może utrudzony wędrowiec. Nawet Sadie odżyła na ten utęskniony widok, a zmordowane wielbłądy zaczęły węszyć i parskać, wyciągając długie szyje. Po wrogiej dzicy pustynnej zdawało się wszystkim, że nie widzieli jeszcze nigdy nic bardziej uroczego. Patrzyli na zieleń murawy, na której jak mroczne gwiazdy leżały cienie palm, podnosili oczy ku ciemno–zielonym liściom na tle soczystego granatu nieba i wobec uroków przyrody zapomnieli o wiszącej nad nimi śmierci.

Wewnątrz kotliny było siedem dużych i dwa małe źródła. Ich miseczkowate wgłębienia wypełniała woda barwy torfu, tak obficie, że karawana mogła jej nabrać suty zapas. Ludzie i wierzchowce pili zapamiętale, aczkolwiek była przesiąknięta siarką i sodą. Rozsiadano wielbłądy, Arabowie porozkładali w cieniu maty, a więźniom dano rację daktylów i dory z oznajmieniem, że dopóki upał nie minie, mogą robić co im się podoba, bo mułła przyjdzie do nich dopiero przed zachodem. Paniom ustąpiono najbardziej cieniste miejsca pod akacją, a panowie położyli się w cieniu palm. Wielkie zielone liście chwiały się wolno nad nimi, słyszeli przytłumiony gwar rozmów arabskich i ciche żucie wielbłądów, a potem na jedną chwilę, nastąpił najbardziej tajemniczy i najmniej zrozumiały z cudów: ktoś znalazł się wśród zielonych jarów irlandzkich, ktoś inny widział wyciągniętą długą linię Commonwealth Avenue, ktoś trzeci siedział przy obiedzie przy okrągłym stoliku na wprost popiersia Nelsona w Klubie Armii i Floty, a poszum gałęzi palmowych przeszedł dla niego w szelest Pale Male Gazette. I tak myśli rozbiegły się na różne strony, błędząc po krainie pamięci, gdy tymczasem skołatane ciała leżały półprzytomne pod palmami na oazie libijskiej pustyni.

ROZDZIAŁ VIII

Pułkownik Cochrane obudził się ze snu, bo ktoś trącił go w ramię. Otwierając oczy, ujrzał stroskaną, czarną twarz Tippy Tilly, dawnego kanoniera egipskiego. Trzymał palec na grubych wargach, a czujne oczy biegały to w lewo, to w prawo.

— Niech pan leży cichutko, niech pan nic nie mówi — przestrzegał szeptem. — Położę się koło pana, nie będą mnie mogli odróżnić. Czy pan może mnie zrozumieć?

— Owszem, jeżeli będziesz mówił powoli.

— Doskonale. Nie bardzo dowierzam temu czarnemu człowiekowi, Manzorowi. Wołałem mówić z samym *Miralai*.

— Co masz do powiedzenia?

— Długo czekałem, aż nareszcie wszyscy zasną, a teraz za godzinę zwołają nas na wieczorne modlitwy. Przede wszystkim mam pistolet, żeby pan nie mógł powiedzieć, że jesteście bez broni.

Był to niezgrabny, wysłużony klekot, ale pułkownik zajrzał i przekonał się, że jest nabity. Wsunął go prędko do kieszeni żakietu.

— Dziękuję ci — rzekł — mów wolno, żebym cię rozumiał.

— Jest nas ośmiu, którzy chcemy dostać się do Egiptu. A panów jest czterech. Jeden z naszych, Mahomet Ali, związał razem dwanaście wielbłądów. Są najbardziej ręczne ze wszystkich, oprócz tych, na których jadą emirowie. Straże stoją na czatach, ale są rozrzucone w różnych kierunkach. Naszych dwanaście wielbłądów czeka tuż obok nas — to te za akacją. Jeżeli tylko uda się nam wsiąść na nie i wydostać stąd, przypuszczam, że niewielu nas dogoni, a w dodatku mamy karabiny. Straże nie będą w stanie tylu naraz pochwycić. Bukłaki są wszystkie pełne wody i możemy znowu zobaczyć Nil jutro wieczorem.

Pułkownik nie mógł zrozumieć wszystkiego, ale to, co pochwycił wystarczyło, żeby iskierka nadziei zatliła się w jego sercu. Ostatni straszny dzień wyrzył ślady na jego sonej twarzy i włosach, które raptownie pobielaly. Mógłby być ojcem szykownego i pysznie trzymającego się oficera, który wojskowym krokiem przemierzał salonowy pokład *Koroska*.

— Wybornie — rzekł — ale co zrobimy z trzema paniami? Czarny żołnierz wzruszył ramionami z lekceważeniem.

— *Mefisz* — burknął. — Jedna jest stara, a w Egipcie zastaniemy moc kobiet. Nic im się złego nie stanie, wezmą je do haremu kalifa.

— To co mówisz, to bzdura — odparł niechętnie pułkownik. — Albo zabierzemy nasze panie z sobą, albo wcale nie pojedziemy.

— Mnie się zdaje, że bzdury to właśnie pan mówi — obruszył się Murzyn. — Jak pan może żądać od moich towarzyszy i ode mnie, żebyśmy robili coś, co się musi skończyć porażką? Całe lata czekaliśmy na taką sposobność, jak dzisiejsza, a kiedy przyszła, pan chce, żebyśmy sami sobie wszystko psuli dobrowolnie dla jakichś głupstw z kobietami.

— Ile wam obiecałem dać, jeżeli wrócimy do Egiptu?

— Po dwieście funtów egipskich i powrót do wojska — mamy na to słowo Anglika.

— Doskonale. Dostaniecie po trzysta, jeżeli obmyślicie nowy plan taki, żeby można było wziąć i panie.

Tippy Tilly podrapał się w wełnistą głowę w zakłopotaniu.

— Moglibyśmy, owszem, pod pewnymi warunkami ściągnąć jeszcze na to miejsce trzy z tych najprędszych wielbłądów. Ale jak zrobić, żeby kobiety na nie wsiadły? A potem, jeśli nawet wsiadą, wiemy doskonale, że pospadają, jak się zaczną galopować. Boję się, że panowie spadną,

bo nie łatwo jest utrzymać się na galopującym wielbłądzie. Ale dla kobiety to jest zupełnie niemożliwe. Nie, nie, zostawimy kobiety, a jeżeli pan nie chce, zostawimy was wszystkich i pojedziemy sami.

— Doskonale, jedźcie sobie — zakończył krótko pułkownik i ułożył się ponownie do snu. Wiedział z doświadczenia, że z dziećmi Wschodu najwięcej można wskórać milczeniem.

Murzyn odwrócił się i czołgając dotarł do miejsca, gdzie go oczekiwał jeden z jego fellahów, Mahomet Ali, ten, który posprowadzał wielbłądy. Obaj rozważali sprawę przez chwilę, bo trzysta funtów to nie była rzecz, którą można by znów tak łatwo odrzucić. Po czym Murzyn przypelznął z powrotem do pułkownika Cochrane'a.

— Mahomet Ali zgadza się — oznajmił. — Poszedł założyć wędzidła w nosy jeszcze trzem wielbłądom. Ale to jest szaleństwo i wszyscy lecimy na śmierć. Teraz niech pan pójdzie ze mną, obudzimy kobiety i powiemy im cośmy uradzili.

Pułkownik pobudził towarzyszy i oświadczył im, co się gotuje. Belmont i Fardet byli gotowi na wszelkie ryzyko. Stephens, który nie przejmował się zbyt perspektywą biernej śmierci, teraz wpadł w konwulsyjny wprost strach na myśl o czynnej próbie zapobieżenia jej i zaczął drzeć całym swoim długim i chudym ciałem. W pewnym momencie wyciągnął Baedeckera i usiłował coś napisać na jego luźnej kartce, ale ręka tak mu skakała, że wyrazy były prawie nieczytelne. Przez jakąś niezrozumiałą tresurę prawniczej myśli śmierć, nawet gwałtowna, byle tylko przyjęta ze spokojem mieściła się w ustanowionym porządku rzeczy, lecz śmierć, która chwyta galopujących obłąkańczo przez pustynię, była zupełnie nieprawidłowa i psuła wszelki porządek. Bał się nie złego wyniku, ale upokorzenia przez bezpłodny bunt.

Pułkownik Cochrane i Tippy Tilly przyczołgali się razem pod akację, do miejsca, gdzie leżały kobiety. Sadie i ciotka spoczywały splecione ramionami, a głowa dziewczęcia opierała się na piersiach panny Elizy. Pani Belmont nie spała i w jednej chwili zorientowała się w sytuacji.

— Ale mnie musicie zostawić — odezwała się panna Adams z powagą — w moim wieku już i tak nic nie warto.

— Nie, nie, cioteczko, nie ruszę się bez ciebie. Nawet nie myśl o tym — oponowała gorąco Sadie. — Albo zaraz pojedziesz, albo obie zostaniemy, gdzie jesteśmy.

— Proszę pani, proszę pani, nie ma czasu do namysłu — mówił ostro pułkownik. — Nasze życie zależy od odrobiny pani dobrej woli, nie możemy pani tutaj zostawić.

— Ależ ja spadnę.

— Przywiążę panią woalem. Szkoda, że nie mam chustki, którą pożyczyłem biednemu księdzu. No, Tippy, zdaje się, że możemy wsiadać.

Czarny żołnierz wszelako patrzył w stronę pustyni ze zrozpaczoną twarzą i klnąc zawrócił na piętach.

— Oto właśnie. Widzi pan teraz, co wyszło z tego głupiego gadania. Wszystko pan popsuł i nam, i sobie.

Sześciu jeźdźców ukazało się niespodziewanie u zrębu kolistego zagłębienia, odcinając się ostro na tle wieczornego nieba, w miejscu, gdzie miedziana oprawa oazy stykała się z błękitną powalą. Nadlecieli klusem i poczęli wymachiwać strzelbami. W minutę później róg zabrzmiał na alarm i w obozie zakotłowało się jak w ulu. Pułkownik pobiegł szybko ku towarzyszom, a czarny żołnierz do swego wielbłąda. Stephens wyglądał jak odrodzony, Belmont był kwaśny, a Fardet pienieł się, wygrażając zranioną ręką.

— Psubraty! — mamrotał. — Czy to się nigdy nie skończy. Czy już nie wyjdziemy z łap tych szubrawców derwiszów?

— Ah, zatem naprawdę istnieją derwisze? Czyż być może? — szydził pułkownik. — Pan zdaje się zmieniać zdanie? Mniemałem, że wymyślił ich rząd brytyjski.

Biedaczysko począł się mienić na twarzy. Naigrwanie się pułkownika było jak przytknięcie zapałki do beczki z prochem i w jednej chwili Francuz znalazł się przed twarzą przeciwnika, miotając potokiem obelżywych słów. Ręka jego szukała gardła Cochrane'a, na szczęście Belmont i Stephens zdołali go obezwładnić.

— Gdyby nie pana siwe włosy... — syczał.

— Bezczelny człowiek! — ryknął pułkownik.

— Jeżeli mamy umierać, to umierajmy, jak kulturalni ludzie, a nie jak ulicznicy — Belmont próbował pośredniczyć z godnością.

— Ja tylko powiedziałem, że cieszę się, iż pan Fardet nauczył się czegoś dzięki swym przygodom — drwił dalej pułkownik.

— Przestań pułkowniku. Czy panu zależy na tym, żeby go drażnić?

— Słowo honoru, panie Belmont, pan się zapomina. Nie pozwalam ludziom mówić do siebie w ten sposób.

— Sam pan będzie później żałował.

— Panowie, panowie, panie słyszą — zawołał Stephens i rozsierzeni mężczyźni w jednej chwili wpadli w grobowe milczenie, chodząc tam i z powrotem i szarpiąc gniewnie wąsa. Ale zły humor jest bardzo zaraźliwy, bo i Stephens rozdrażnił się ich rozdrażnieniem i patrzył na nich spođe łba. Losy ich się ważyły w tej chwili, cień śmierci wisiał nad nimi, a myśli ich pochłaniały jeszcze osobiste niesnaski, tak błahe, że wprost trudno było wyrazić słowami, o co im idzie. Nieszczęścia podnoszą ducha ludzkiego na wielkie wyżyny, ale chwilowe upadki zawsze są jednak możliwe.

Wkrótce uwaga ich skierowana została ku rzeczom donioślejszym. U źródeł odbywała się narada wojenna i dwaj emirowie w powadze i skupieniu przyjmowali raport dowódcy patrolu. Więźniowie zauważyli, że podczas gdy okrutny starzec słuchał jak skamieniały, młodszy raz po raz szarpał nerwowo brodę cienkimi palcami.

— Ręczę, że Egipcjanie idą — rzekł Belmont. — Wnosząc z ich min, muszą już nawet być niedaleko.

— Takby wyglądało. Coś ich musiało spłoszyć.

— Wydaje rozkazy. Co to może oznaczać? Słuchaj Manzor, o co tu idzie?

Dragoman przyleciał z twarzą promieniejącą od radości.

— Zdaje się, że zobaczyli coś, co ich przestraszyło. Przypuszczalnie nasi żołnierze idą. Kazali napełnić łagwie i gotować się do wyjazdu, nim się ściemni. Ale mnie polecono przypilnować, żeby państwo zesłi się wszyscy razem, bo mułła ma się teraz zająć nawracaniem. Już mu powiedziałem, że jesteście bardzo skłonni myśleć tak, jak on.

Jak dalece zagalopował się Manzor w swoich obietnicach, pozostanie tajemnicą na zawsze, dość, że kaznodzieja muzułmański szedł ku chrześcijanom z ojcowskim uśmiechem zadowolenia na twarzy, jak człowiek, który ma spełnić miły i łatwy obowiązek. Miał tylko jedno oko, wiecheć szpakowatej brody i tłustą twarz, która musiała swego czasu być jeszcze tłściejsza, bo przecinało ją mnóstwo fałd i zmarszczek. Na głowie jako pielgrzym z Mekki nosił zielony turban. W jednej ręce trzymał brązowy dywanik, w drugiej pergaminowy zwój Koranu. Rozłożył dywanik na ziemi, wezwał do siebie Manzora i ruchem ręki wskazał najpierw jeńcom, żeby się zbliżyli, następnie, żeby usiedli. Tak tedy tych siedmioro przedstawicieli obcej religii, zasiadło pod palmą na murawie, a pośród nich gruby, pękaty kaznodzieja. Przeskakując jedynym okiem kolejno po wszystkich twarzach, zaczął wyklądać zasady swojej młodszej, surowszej i bardziej nieokrzesanej wiary. Słuchali poważnie i potakiwali głowami, ilekroć Manzor przetłumaczył im jakiś dogmat, a po każdym dowodzie ich uznania mułła stawał się jeszcze łaskawszy i jeszcze czulszy w mowie.

— Bo i dlaczego miałybyście umierać, słodkie owieczki moje, jeżeli jedyną rzeczą, której się od was wymaga jest, abyście odrzuciły to, co was zawiedzie do wiecznej Gehenny i abyście przyjęły prawo Allaha, spisane przez jego proroka, które na pewno przyniesie wam niepojęte rozkosze, jak nam obiecuje Księga Wielbłądzia. Bo co powiada wybrany? — I tu wszedł w jeden z dogmatycznych tekstów, które dla każdej wiary mają powagę argumentu. — Zresztą czyż nie jest widome, że Bóg jest z nami od początku, bo choć przeciw tureckim strzelbom mieliśmy tylko kije, zwycięstwo było nasze. Czyśmy nie wzięli El-Obeid, nie zajęli Chartumu, nie rozbili Hicksa i nie zabili Gordona, nie pokonali wszystkich, ktokolwiek był przeciwko nam? Jak więc można twierdzić, że błogosławieństwo Allaha nie spoczywa na nas?

Podczas długiej przemowy mułły pułkownik rozglądał się dokoła siebie i dostrzegł, że derwisze czyszczą broń, liczą naboje, w ogóle czynią przygotowania, jak gdyby spodziewali się, że lada chwila czeka ich walka. Emirowie naradzali się z powagą, a dowódca patrolu mówił coś i wskazywał w stronę Egiptu. Nie ulegało wątpliwości, że nadzieja ocalenia może się spełnić, trzeba tylko jeszcze przeciągnąć rzecz o parę godzin. Wielbłądy dotąd nie przyszły do siebie po długim marszu i ścigający, jeżeli naprawdę byli niedaleko, mieli wszelkie dane powodzenia.

— Na miłość boską, panie Fardet, niech pan ich trzyma w szachu. Wierzę, że jest nadzieja, trzeba jeszcze tylko godzinę jakoś przeczekać.

Ale zraniona miłość własna Francuza nie tak łatwo dała się ugłaskać. Pan Fardet siedział oparty o palmę z kwaśną miną i nastrożonymi brwiami. Nic nie mówił, szarpał tylko co chwila grubego wąsa.

— Śmiało, panie — jesteśmy wszyscy w pana ręku — zachęcał go Belmont.

— Niech pułkownik mówi — odburknął Francuz. — On przecież bierze na siebie wszystko co się da.

— No, no — zaczął Belmont, jak do rozgrymaszonego dziecka — jestem zupełnie pewny, że pułkownik żałuje tego, co się stało i sam widzi, iż nie ma słuszności.

— Ani mi się śni — mruknął pułkownik.

— Przy tym jest to czysto osobista sprzeczka — ciągnął dalej Belmont z pośpiechem — a tu idzie o nas wszystkich. I jeżeli jednomyślnie pragniemy, aby pan mówił z mułłą, to dlatego, że naprawdę czujemy, iż pan to zrobi lepiej od innych. Ale Francuz wzruszył tylko ramionami i pograżył się w jeszcze głębsze milczenie.

Mułła patrzył to na jednego, to na drugiego i uprzejmy wyraz zaczął znikać z jego nalanej twarzy. Kąciki ust opuściły się, wyglądał twardo i surowo.

— Czy ci niewierni żartują sobie ze mnie? — zapytał dragomana — dlaczego rozmawiają między sobą, a mnie nie mają nic do powiedzenia?

— Zaczyna się niecierpliwić — zauważył Cochrane. — Muszę spróbować, wedle sił, bo widzę, że ten wstrętny człowiek wyprowadził nas w pole.

Ale kobiecy spryt uratował sytuację.

— Pewna jestem — zabrała głos pani Belmont — że pan jako Francuz, zatem człowiek elegancki, honorowy, nigdy dla urażonych uczuć osobistych nie złamie danego słowa i nie zaniedba obowiązku wobec trzech bezbronnych kobiet.

Fardet momentalnie zerwał się na nogi z ręką na sercu.

— Pani mnie rozumie — krzyknął. — Nie umiałbym nigdy zawieść płci pięknej. Spróbuję, co potrafię. Manzor, powiedz temu świętemu mężowi, że jestem gotów dysputować z nim w przedmiocie jego wiary.

I wziął się do tego z dobroduszością, która zdumiała towarzyszy. Przybrał ton człowieka istotnie przekonanego, którego powstrzymują jeszcze tylko jakieś resztki wątpliwości. Lecz kiedy mułła pokonał jeden skrupuł, zaraz wyrastał inny, malutki kolec, który nie pozwalał

całkowicie przejąć się islamem, a wszystkie pytania były przeplecione komplementami i wyrazami osobistej radości człowieka, któremu los pozwolił skorzystać z nauki tak mądrego i głębokiego teologa, więc obwisłe worki pod oczyma mułły trzęsły się z zadowolenia, kiedy punkt po punkcie rozwiewał wątpliwości nawracanego. Błękit nad nimi tymczasem przeszedł w fiolet, zielone liście ściemniały, wreszcie wielkie, jasne gwiazdy wykwitły między koronami palm.

— Co do prawdy, o którą pytasz, moja owieczko — ciągnął mułła w odpowiedzi na jakiś zarzut Fardeta — studiowałem na uniwersytecie El Azhara w Kairze i rozumiem, o co ci chodzi. Ale dla wierzących nauka jest czym innym, niż dla niewiernych i dlatego nie należy zapuszczać się za daleko na drogi Allaha. Niektóre gwiazdy, słodka owieczko moja, mają ogony, a inne nie mają, cóż nam jednak przyjdzie z tego, jeśli się dowiemy, czym one są? Bóg je wszystkie stworzył, wszystkie są bezpieczne w Jego ręku. Dlatego, miły mój, nie dawaj się oszukać obłąkanej nauce Zachodu, wiedz, że jedna jest tylko mądrość: iść za wolą Allaha, taką jaką jego wybrany Prorok wyłożył w Koranie. A teraz owieczki moje, widzę, że dojrzałyście już do przyjęcia islamu, a pora jest, bo oto róg wzywa nas w drogę. Dostojny emir Abderrahman wyraźnie nakazał, żebyście, zanim odjedziemy od źródeł wypowiedziały się w tę albo w tamtą stronę.

— Jednak ojcze, są jeszcze kwestie, co do których pragnąłbym wyjaśnienia — odpowiedział Francuz — bo zaprawdę rozkosznie jest słuchać waszych mądrych słów po mglistych wywodach, jakie zawsze słyszałem od innych mistrzów.

Ale mułła wstał i cień podejrzenia pojawił się w jego oczach.

— Dalsze wyjaśnienia możecie otrzymać już później, po nawróceniu — rzekł — mamy jechać razem aż do Chartumu, a dla mnie będzie pociechą widzieć jak po drodze nabywacie mądrości i cnoty. Podeszedł do ogniska i nachyliwszy się z trudem, bo mu mocno przeszkadzała tusza, powrócił z dwoma na pół zwęglonymi drewnami, które położył skrzyżowane na trawie. Derwisze skupili się dookoła, aby przyrządzić obrzędowi. Stali wieńcem w zapadającym zmierzchu, w swoich dziwacznych strojach, a zza nich wychylały się długie szyje i dumne łby wielbłądów.

— Jest to ostatnia chwila — mówił mułła, a głos jego stracił poprzedni łagodny ton. — Ułożyłem na ziemi z tych dwu drewek głupi i zabobonny symbol waszej dotychczasowej wiary. Przejdziecie po nim na dowód, że się go wyrzekacie i ucałujecie Koran, aby pokazać, żeście go przyjęli. A jeżeli jeszcze czegoś będziecie się chcieli nauczyć, zrobi się to po drodze.

Tak więc ci czterej mężczyźni i trzy kobiety stanęli w obliczu swego przeznaczenia. Nikt z nich, prócz panny Adams i pani Belmont, nie żywił głębszych uczuć religijnych. Byli to ludzie na wskroś światowi, niektórzy z nich nawet niechętni wszystkiemu, co wyrażał symbol, ułożony na ziemi. Ale żyła w ich duszach duma Europejczyków, duma białej rasy i ta ich wiązała z wiarą plemienia. Był to motyw grzeszny, ludzki, nie chrześcijański, a jednak miał uczynić z nich jawnych męczenników chrześcijaństwa. W napięciu nerwów, w jakim znajdowali się w tej chwili, jakiś cichy dźwięk uderzył nagle ich uszy i wydał im się donośnym odgłosem dobiegającym od strony pustyni. Palmy nad ich głowami szumiały jak spokojna rzeka, a na tym tle słyszeli jakby odległy tętent wielbłądów.

— Ktoś się zbliża — szepnął pułkownik. — Niech pan ich jeszcze przetrzyma przez pięć minut.

Francuz wysunął się naprzód z uprzejmym ruchem swej zdrowej ręki i z miną człowieka zdecydowanego na wszystko.

— Powiedz świętemu mężowi, że jestem gotów przyjąć jego naukę i nie wątpię, że moi towarzysze myślą tak samo — odezwał się do dragomana. — Ale pragnąłbym, aby uczynił jeszcze coś, co w naszych sercach rozwiałoby resztki możliwych wątpliwości. Każda prawdziwa religia daje możliwość czynienia cudów, których mogą dokonywać jej wyznawcy. Ja sam, chociaż

jestem skromnym tylko chrześcijaninem, dzięki mojej wierze, mogę niejedno sprawić, więc pewny jestem, że wasza religia, jako doskonalsza, może dokonać więcej. Dlatego proszę, żebyście nam dali żywy dowód, iż islam jest najwyższą wiarą.

Przy całej swojej dumie i powściągliwości, Arabowie odznaczają się niemałą dozą ciekawości. Szmer jaki powstał wśród widzów, gdy im Manzor przełożył słowa Francuza, był żywym tego dowodem.

— Te rzeczy są w ręku Allaha — odpowiedział duchowny. — Nie wolno nam zakłócać jego praw. Ale jeżeli sam posiadasz siłę, o jakiej mówisz, daj nam dowód, abyśmy mogli naocznie się przekonać.

Francuz podszedł parę kroków i podnosząc ręce wyjął duży świecący daktyl z brody mułły. Połknął go i w tej samej chwili wyciągnął inny z jego lewego łokcia. Często dawał na statku takie czarodziejskie przedstawienia i towarzysze podróży wybornie bawili się jego kosztem, bo nie był dość zręczny, aby zwieść krytycznych Europejczyków. Ale teraz patrzyli na jego magiczne sztuczki jak na deskę ratunku, od której zależał ich los. Szept zdziwienia przebiegł wśród gromady arabskiej i wzmógł się jeszcze, kiedy Francuz wydobył nowy daktyl z nozdrza wielbłąda i rzucił go w powietrze, skąd na pozór wcale nie spadł. Nadstawiony rękaw był zupełnie wystarczającym objaśnieniem dla towarzyszy, ale zapadający zmierzch okazał się doskonałym sprzymierzeńcem sztukmistrza. Widzowie byli tak zachwyceni i przejęci, że nie zwrócili prawie uwagi na jeźdźca, który szybko przesunął się między palmami. Wszystko byłoby jak najlepiej, gdyby nie to, że Fardet, zachęcony powodzeniem, postanowił raz jeszcze powtórzyć sztukę, jednak z tak nieszczęśliwym wynikiem, że daktyl wypadł mu z ręki i oszustwo wyszło na jaw. Na próżno starał się bezzwłocznie przejść do innego numeru ze swojego szczupłego repertuaru. Mułła powiedział coś i jeden z Arabów uderzył Fardeta po ramieniu grubą rękoięcią włóczni.

— Dosyć tych bzdur — mówił duchowny z gniewem. — Czy jesteśmy dorośli ludzie, czy niemowlęta, że pozwalasz sobie oszukiwać nas w taki sposób? Macie krzyż i Koran, wybierajcie.

Fardet bezradnie obejrzał się na towarzyszy.

— Nic więcej nie mogę. Żądaliście pięciu minut — zrobiłem swoje — rzekł do pułkownika Cochrane'a.

— I może wystarczy — odpowiedział oficer. — Oto emirowie.

Jeździec, którego przybycie słyszeli, podjechał do wodzów i zdawał im raport, wskazując palcem w kierunku, z którego przyjechał. Nastąpiła krótka wymiana zdań między dowódcami, po czym obaj podeszli do gromady, skupionej dokoła jeńców. Chociaż zaprzańcy i barbarzyńcy, ci dwaj ludzie, kroczący w półmroku przez gaj palmowy, naprawdę posiadali w sobie majestat. Stary drapieжник wznosił dłoń i zaczął przemawiać szybko, urywanymi zdaniem, a dzika tłuszczka odszczekiwała mu, jak psy myśliwemu. Ogień żarzący się w jego zuchwałych oczach, odbijał się w setkach innych źrenic. Kto to widział, mógł zrozumieć potęgę i niebezpieczeństwo ruchu Mahdiego; zapamiętałe twarze, wygrażanie bronią, podniecone do szału dusze, wszystko to mówiło tylko o jednym — o pragnieniu krwawej śmierci, byle tylko oni sami mogli umazać swe ręce we krwi.

— Czy jeńcy przyjęli prawdziwą wiarę? — zapytał Abderrahman, topiąc w ofiarach bezlitosne spojrzenie.

Mułła musiał bronić swojej sławy i dlatego nie przyznał się do porażki.

— Mieli ją właśnie przyjąć, kiedy...

— Odłożymy to na razie, mułło — wydał rozkaz i Arabowie wszyscy skoczyli na wielbłądy. Emir Wad Ibrahim przedefilował niemal z połową całego oddziału. Reszta siedziała na wielbłądach, gotowa do odjazdu, z karabinami w ręku.

— Cóż się stało? — zagadnął Belmont.

— Nie widzicie? — zawołał pułkownik. — Przebóg, jeszcze wydostaniemy się stąd! Egipski Korpus Wielbłądzi jest tuż tuż za nami.

— Skąd pan wie o tym?

— Cóż innego mogłoby ich spłoszyć?

— O! Naprawdę, panie pułkowniku, pan wierzy, że możemy być ocaleni? — szlochała Sadie. Straszna szkoła, przez którą przeszli, stępiła im nerwy i zdawało się, że są już niezdolni do żadnych silnych wrażeń. A oto niespodziewany powrót nadziei przełamał ich apatię, jak gdyby ożyły nagle odmrożone członki. Nawet mocny, pewny siebie Belmont, pełen był wątpliwości i niepokoju. Nie tracił otuchy, kiedy nie było najmniejszych perspektyw na ocalenie, teraz, gdy się otworzyły, nie mógł opanować drżenia.

— Na pewno przyjdą w dostatecznej sile — wołał. — Boże mój, gdyby komendant przysłał ich za mało, zasłużyłby na sąd polowy.

— Bóg snadź czuwa nad nami — dodała żona miękkim irlandzkim akcentem. — John, kochanie, uklęknij przy mnie i módlmy się, może już po raz ostatni, abyśmy nigdy, na ziemi czy w niebie, nie byli rozłączeni.

— Dajcie spokój, dajcie spokój — krzyknął pułkownik zalekniony, bo widział, że oko mułły spoczywa na nich. Ale było za późno; katolicka para osunęła się już na kolana ze znakiem krzyża. Błysk wściekłości przeleciał po twarzy mahometańskiego duchownego na ten jawny dowód niepowodzenia jego misjonarskich zabiegów. Odwrócił się, mówiąc coś do emira.

— Wstańcie! — krzyknął Manzor. — Jeżeli wam życie miłe, wstańcie! Zażądał, żeby was skazano na śmierć.

— Niech robi, co mu się podoba — odpowiedział uparty Irlandczyk — wstaniemy, jak skończymy modlitwy, wcześniej nie.

Emir słuchał słów mułły wpatrzony okropnym wzrokiem w klęczących. Wydał szybko jakiś rozkaz, i natychmiast podprowadzono cztery wielbłądy. Zwierzęta pociągowe, na których jechali poprzednio stały tam, gdzie je rozsiodłano.

— Belmont, opanujcie się — krzyczał pułkownik — wszystko zależy od tego, żeby ich nie drażnić. Proszę niech pani wstanie. Tylko ich rozjuszacie w ten sposób.

Francuz patrzył na Irlandczyków z pogardliwym wzruszeniem ramion. — *Mon Dieu!* — zawołał. — Czy kto widział kiedy takich niemądrych ludzi? *Voilà* — dodał z grymasem, kiedy obie Amerykanki uklękły obok pani Belmont. — Zupełnie jak wielbłądy: jeden klęka to i wszystkie klękają. Wprost nie do uwierzenia taka niedorzeczność. — Ale i Stephens ukląkł koło Sadie i ukrył twarz w chudych dłoniach. Tylko pułkownik i Francuz nie drgnęli. Cochrane spojrział pytająco na Fardeta.

— Ostatecznie głupio jest modlić się przez całe życie, a nie modlić się, kiedy nic nam na ziemi nie zostało, prócz wiary w dobroć Opatrzności. — Zgiął kolano sztywno, po wojskowemu, a szpakowata, niegolona broda opadła mu na piersi. Fardet przyglądał się klęczącym towarzyszom, potem wzrok jego przeniósł się na nasróżone twarze emira i mułły.

— *Sapristi* — mruknął. — Myślą może, że Francuz się ich boi? — I ostentacyjnie zegnając się, ukląkł obok innych. Tak tych siedem nieszczęsnych, umęczonych ofiar klęczało, wyczekując kornie przeznaczenia w czarnym cieniu palm.

Emir zwrócił się do mułły z drwiącym uśmiechem i pokazał mu wynik jego zabiegów. Po czym na jego rozkaz w jednej chwili ujęto wszystkich czterech mężczyzn i skrzepowano im ręce powozem. Fardet wrzasnął, bo powróż wszedł mu w otwartą ranę. Inni znieśli cios z godnością.

— Wszystko państwo popsuli. I mnie zgubili razem z sobą — krzyczał Manzor, załamując ręce. — Kobiety mają siadać na te trzy wielbłądy.

— Nigdy — krzyknął Belmont. — Nie damy się rozłączyć.

— Zaczął szarpać się nieprzytomnie, ale po wszystkim co przeszedł, był za słaby i dwu zbirów chwyciło go pod ramię.

— Spokojnie, John — upominała żona Belmonta, kiedy ją prowadzono do wielbłąda. — Nic złego mi nie zrobią. Nie mocuj się z nimi, bo się zemszczą.

Wszyscy czterej mężczyźni byli zrozpaczeni, widząc, że zabierają kobiety. Męczarnie, jakie przeszli dotąd, były niczym w porównaniu z tą chwilą. Sadie i ciotka wyglądały jak na pół obłąkane ze strachu. Tylko pani Belmont trzymała się dzielnie. Kiedy wszystkie trzy już siedziały, wielbłądy podniosły się i podeszły za drzewa, koło których stali czterej mężczyźni.

— Mam w kieszeni pistolet — mówił Belmont, patrząc na żonę. — Dałbym życie za możliwość przekazania ci go.

— Zachowaj go, John, może ci się jeszcze przydać. Ja się niczego nie boję. Odkąd się pomodliłam, czuję jak gdyby skrzydła anioła stróża nad nami. — Sama była niby anioł stróż, kiedy, obróciwszy się ku omdlewającej Sadie, starała się wlać otuchę w jej zrozpaczone serce.

Krótki, pękaty Arab, który prowadził ariergardę Wad Ibrahima, podszedł do emira i mułły. Naradzali się wspólnie, od czasu do czasu zerkając ku jeńcom. Emir zwrócił się do Andora.

— Naczelnik chciałby wiedzieć, który z panów jest najbogatszy? — zapytał dragoman. Jego palce bezustannie nerwowo szarpały i skubały ubranie.

— Na co mu ta wiadomość? — zdziwił się pułkownik.

— Nie wiem.

— Ależ to całkiem jasne — odparł Francuz. — Chce wiedzieć, kogo najlepiej zatrzymać dla okupu.

— Musimy się wspólnie nad tym zastanowić — zauważył pułkownik. — Pan, panie Stephens, musi to rozstrzygnąć, bo nie ulega wątpliwości, że pan jest najzamożniejszy.

— Nie wiem, czy tak jest — odparł adwokat — ale w żadnym razie nie zgodzę się na jakiegokolwiek przywileje.

Emir odezwał się znowu swoim chrapliwym, przykrym głosem.

— Powiada — tłumaczył Manzor — że wielbłądy pociągowe są zmordowane i że tylko jeden nadaje się do użytku. Niech panowie sami między sobą zdecydują, komu on ma się dostać. Jeżeli jeden jest bogatszy od pozostałych, to powinien mieć pierwszeństwo.

— Powiedz mu, że wszyscy jesteśmy jednakowo majętni.

— W takim razie powiada, żebyście od razu postanowili, kto pojedzie na tym wielbłądzie.

— A co stanie się z innymi? Dragoman wzruszył ramionami.

— W sytuacji, gdy tylko jeden z nas może ująć śmierci — zdecydował pułkownik — sędzę, iż zgodzicie się towarzysze, na to, żeby był nim Belmont, ponieważ jest żonaty.

— Tak, tak, pan Belmont pojedzie — zawołał Francuz.

— I ja tak myślę — dodał Stephens. Ale Irlandczyk nie chciał o tym słyszeć.

— Nie, nie, żaden z nas nie jest lepszy od innych. Wszyscy utoną, albo wszyscy się uratują, a niech czart porwie tego, który się wymiga.

Spierali się tak długo, aż się zupełnie zapamiętali w tym wyścigu altruizmu. Ktoś zauważył, że wybrać należy pułkownika, ponieważ jest najstarszy, ale pułkownik obruszył się do żywego.

— Myślałby kto, że mam osiemdziesiąt lat — gniewał się. — Niestosowna uwaga.

— W takim razie — rozstrzygnął Belmont — wszyscy odmówimy jazdy.

— Ależ to byłoby nierozsądne — zaperzył się Francuz — zauważcie panowie, że panie musiałyby wtedy zostać same. Na pewno będzie dużo lepiej, jeżeli któryś z nas pojedzie z nimi jako doradca.

Spojrzeni po sobie zmieszani. To, co mówił Fardet, było niezbitą prawdą, ale jakże można było opuszczać towarzyszy? Emir sam podsunął rozwiązanie.

— Naczelnik powiada — objaśnił Manzor — że jeżeli panowie nie mogą się porozumieć najlepiej będzie to zdać na Allaha i ciągnąć losy.

— Przypuszczam, że nie wymyślimy nic lepszego — podchwycił pułkownik a towarzysze zgodzili się skwapliwie.

Muła podszedł do nich z drzazgami łyka palmowego, wystającymi mu spomiędzy palców.

— Mówi, że kto wyciągnie najdłuższą drzazgę, dostanie wielbłąda — rzekł Manzor.

— Musimy się zgodzić, że to będzie bezwzględnie rozstrzygające — uprzedził pułkownik i znowu towarzysze wyrazili zgodę.

Derwisy ustawili się przed nimi półkolem, na tle kiwających się łąbów wielbłądzich. Ognisko obozowe rzucało czerwony odblask na całą grupę. Emir stał plecami do płomienia, zwrócony twarzą ku jeńcom. Za jeńcami stała linia straży, a za strażą trzy kobiety przyglądały się tragedii z wysokości wielbłądów. Gruby, jednooki muła podszedł ze zjadliwym uśmiechem, a spomiędzy palców ściśniętej pięści sterczały mu cztery małe brązowe szczapki.

Pierwszy ciągnął Belmont. Mruknął mimowoli, a żona jęknęła za nim, kiedy drzazga znalazła się w jego ręce. Po nim przyszła kolej na Francuza, którego drewno było o połowę dłuższe od poprzedniego. Drzazga Cochrane'a była dłuższa, niż tamte dwie razem, Stephensa nie dłuższa, niż Belmonta. Pułkownik wygrał tę straszną loterię.

— Niech się pan zmieni ze mną — rzekł do Belmonta. — Nie mam ani żony, ani dziecka, a i przyjaciół niewiele na świecie. Pan pojedziesz z żoną, a ja zostanę.

— Za żadne skarby. Umowa jest umową. Losowanie było uczciwe i nagroda przypadła najszcześniejszemu.

— Emir powiada, że pan ma w tej chwili siadać — odezwał się Manzor i jeden z Arabów pociągnął pułkownika za więzy na rękę ku czekającemu wielbłądowi.

— Będzie jechał z tylną strażą — emir dawał zlecenia adiutantowi. — Kobiety możesz zatrzymać przy sobie.

— A ten pies dragoman?

— Zostanie z tamtymi.

— A tamci?

— Wszyscy na śmierć.

ROZDZIAŁ IX

Ponieważ żaden z trzech nie rozumiał po arabsku, rozkaz emira pozostałby dla nich niezrozumiały, gdyby nie zachowanie się Andora. Nieszczęsny dragoman po wszystkich zdradach, służalstwie i odstępstwie, usłyszał najstraszniejszy wyrok z ust wodza derwiszów. Z rozdzierającym krzykiem nędznik rzucił się na twarz, chwycił się skraju oponczy Araba i czepiał się ciemnymi palcami jego wełnianej sukni. Emir starał się oswobodzić, a widząc, że dragoman chwyta go się konwulsyjnie, odwrócił się i kopnął go ze złością, jak się kopie uprzykrzonego psa. Czerwony zwój Andora wyleciał w powietrze, a on sam rycząc, leżał twarzą do ziemi, tam gdzie go odrzuciła twarda noga Araba.

Cały obóz wrzał. Sędziwy emir wsiał na wielbłąda i część oddziału ruszała już w ślady pierwszej partii towarzyszy. Przysadzisty adiutant, muła i jakichś dwunastu derwiszów zostało z jeńcami. Nie wsiedli na wielbłądy, gdyż to oni odegrać mieli rolę katów. Trzej mężczyźni patrząc na siebie, wiedzieli, że piasek opadł już bardzo nisko w klepsydrze ich życia. Ręce mieli jeszcze ciągle skrępowane, ale straż już ich puściła. Podeszli wszyscy trzej do wielbłądów, aby pożegnać się z kobietami.

— Wszystko skończone, Noro — zaczął Belmont. — Smutne to zwłaszcza, jeżeli były widoki odsieczy, ale cóż, trudno, robiliśmy, co się dało.

Po raz pierwszy żona nie zdołała zapanować nad sobą. Ukryła twarz w dłonie z konwulsyjnym łkaniem.

— Nie płacz żoneczko. Dobrze nam było razem. Pozdrów ode mnie wszystkich znajomych w Bray. Przypomnij mi pamięci ciotki Amy MacCarthy i Blessingtonów. Zobaczysz, że byt będziesz miała zabezpieczony, nawet odłożyć da się coś niecoś, ale chciałbym, żebyś w sprawach majątkowych radziła się Rogera. Pamiętaj o tym.

— O John, ja nie mogę żyć bez ciebie. — Przejęty jej cierpieniem nawet ten mocny człowiek załamał się i przycisnął twarz do włochatej szyi wielbłąda. Oboje szlochali beznadziejnie.

Tymczasem Stephens podszedł do wielbłąda Sadie. Widziała z góry jego wynędzniałą, poważną twarz, mającą w mroku.

— Niech pani nie lęka się o ciocię i o siebie samą — mówił. — Jestem pewny, że państwo będą uratowani. To już rzecz pułkownika. Egipcjanie nie mogą być daleko. Liczę, że napijecie się jeszcze jak należy przed opuszczeniem źródeł. Chciałbym dać cioci kurtkę, bo w nocy będzie zimno, ale boję się, czy będę ją mógł sciągnąć. Niech weźmie ode mnie trochę chleba, będzie go miała na jutro rano.

Mówił zupełnie spokojnie, jak gdyby układał program majówki. Nagła fala zachwyty dla jego spokojnego bohaterstwa załaza jej wrażliwe serce.

— Pan wcale nie ma w sobie samolubstwa! — zawołała. — Co tam mówić o świętych! Stoi pan w samym obliczu śmierci a myśli tylko o nas.

— Chciałbym powiedzieć pani jeszcze ostatnie słowo, panno Sadie, jeżeli pani pozwoli. Byłoby mi o wiele lżej umierać. Często pragnąłem mówić o tym, ale myślałem, że może pani będzie się śmiała, bo przecież pani nigdy nic nie brała na serio, prawda? To zupełnie rozumiałe wobec pani wesołości, ale dla mnie to była rzecz poważna. Teraz jednak jestem już prawie martwy, tak że to, co mówię nie ma wielkiego znaczenia.

— O, to niech pan nie mówi — krzyknęła Sadie.

— Nie powiem, jeżeli to ma pani sprawić przykrość. Umarłbym co prawda spokojniej, ale nie chce być samolubem. Kiedy pomyślę, że mogę przez to rzucić cię na pani życie, albo stać się dla pani smutnym wspomnieniem, wolę faktycznie nie mówić już ani słowa.

— Co pan chciał powiedzieć?

— To tylko, że panią kocham. Zawsze panią kochałem. Od pierwszej chwili, kiedy panią zobaczyłem, stałem się innym człowiekiem. Naturalnie, że to był absurd, sam wiedziałem o tym najlepiej i starałem się unikać śmieszności. Ale pragnę, żeby pani dowiedziała się o tym teraz, kiedy już nie ma możliwości wyboru. Pani zrozumie, że ja naprawdę ją kocham, kiedy powiem, że gdyby nie świadomość, że była pani zatrwożona i nieszczęśliwa, uważałbym te dwa dni, w ciągu których przebywaliśmy bez ustanku razem, za najszcześniejsze z całego mojego życia.

Sadie siedziała blada i milcząca, patrząc zdumionymi oczyma na jego wzniesioną twarz. Nie wiedziała, co ma zrobić albo powiedzieć wobec tej wzniosłej miłości, która pałała tak jasno pod skrzydłem śmierci. Dla jej dziecięcego serduszka było w tym coś niezrozumiałego — a jednak czuła, że jest to słodkie i piękne zarazem.

— Już nic nie powiem — ciągnął dalej Stephens. — Widzę, że to panią jedynie drażni. Chciałem, żeby pani wiedziała, teraz kiedy pani już wie — to mi wystarczy. Dziękuję, że pani tak cierpliwie i uprzejmie wysłuchała. Żegnaj, mała Sadie. Nie mogę podać ręki. Czy mogłaby pani spuścić do mnie rączkę?

Usłuchała prośby, ucałował jej rękę, odwrócił się i odszedł do Belmonta i Fardeta. W całym swoim pełnym zabiegów i powodzeń życiu nigdy nie czuł tyle cichej radości, jak teraz, kiedy śmierć brała go w posiadanie. Miłość nie wie, co znaczy logika. Ona jest rdzeniem życia, zaćmiewa i przygłusza wszystko poza sobą, tylko ona daje zupełne i wszechstronne zadowolenie. Cierpienie jest rozkoszą, niedostatek zbytkiem, śmierć słodyczą, jeżeli je okoli ta złocista mgła. Toteż Stephens gotów był śpiewać z radości, patrząc na „swoich katów”. W rzeczy samej nie miał czasu myśleć o nich. Najważniejszą, tłumiącą wszystko, upajającą prawdą było, że ona nigdy już nie będzie mogła go uważać tylko za przygodną znajomość. Przez całe życie będzie musiała myśleć o nim — będzie wiedziała.

Wielbłąd pułkownika stał niedaleko. Stary żołnierz, któremu tymczasem rozwiązano ręce, przyglądał się tej scenie i silna jego natura nie mogła pogodzić się z myślą, że naprawdę trzeba się wyrzec wszelkiej nadziei. Było oczywiste, że Arabowie zgrupowani koło skazańców, mieli z nimi pozostać, ci, którzy siedzieli na wielbłądach, mieli pilnować trzech kobiet i jego. Nie pojmował dlaczego dotychczas nie podcięto gardeł towarzyszom chyba, że z wyrafinowanym okrucieństwem Wschodu tylne strażnice chciały doczekać się, aż Egipcjanie podejną tuż do nich, aby ścigającym zostawić na urągawisko ciepłe jeszcze ciała ofiar. Nie ulega wątpliwości, że wyjaśnienie to było zgodne z prawdą. Pułkownik słyszał już kiedyś o podobnym wypadku.

Tym razem wszelako z więźniami nie zostało więcej niż dwunastu Arabów. Czy byli między nimi i ci, którzy okazali się sprzymierzeńcami? Gdyby znalazł się wśród nich Tippy Tilly i jego sześciu kamratów, i gdyby Belmont zdołał uwolnić sobie ręce i sięgnąć po rewolwer, mogliby jeszcze ująć cało. Pułkownik wyciągnął szyję jak żuraw i zaklął rozczarowany. W świetle ogniska mógł widzieć twarze Arabów. Byli to sami Baggarrowie, ludzie bez miłosierdzia i nie do przekupienia. Tippy Tilly ze swoimi musiał odjechać z pierwszą partią. Nieugięty żołnierz po raz pierwszy stracił nadzieję.

— Żegnajcie towarzysze, niech was Bóg błogosławi — zawołał, kiedy Murzyn pociągnął za uzdę jego wielbłąda, aby zrównać go z resztą jeźdźców. Kobiety jechały za nim w stanie nie do opisania. Odjazd ich był ulgą dla tych, którzy musieli zostać.

— Jestem szczęśliwy, że odjechali — zwierzył się Stephens.

— Tak, tak, to o wiele lepiej — przyznał Fardet. — Jak długo jeszcze będą nas trzymali?

— Już teraz niezbyt długo — odparł Belmont ponuro, kiedy Arabowie stoczyli się koło nich.

Pułkownik i kobiety obejrzeni się jeszcze, dojechawszy do skraju oazy. Pomiedzy strzelistymi pniami palm błyszczało ognisko, a nad zwartą gromadą Arabów bielily się trzy kapelusze. W chwile potem wielbłądy puściły się truchtem i gdy obrócili się znowu, kotlinka palmowa wyglądała już tylko jak czarna plama, z której wnętrza dobywało się niewyraźnie jakieś światelko. Kiedy ich smutne oczy czepiały się tego drżącego czerwonego punkciku w ciemnościach, przejechali krawędź i od razu otoczyła ich wielka, głucha, zalana księżycem pustynia, a z oazy, którą opuścili, nie zostało śladu. Aksamitne, granatowe niebo z migotliwymi gwiazdami zlewało się z mroczną równiną.

Kobiety jechały w głuchej rozpacz i pułkownik milczał, bo i o czym mogli mówić ze sobą? Nagle wszyscy czworo podskoczyli na siodłach, a Sadie wydała okrzyk grozy. W nocnej ciszy rozległ się za ich plecami ostry strzał, potem drugi i trzeci, później kilka naraz, a po przerwie jeszcze jeden, ostatni.

— To może wybawcy! To może Egipcjanie! — krzyknęła pani Belmont z nagłym błyskiem nadziei. — Panie pułkowniku, czy pan nie przypuszcza, że to Egipcjanie?

— Tak, tak — jęczała Sadie — to muszą być Egipcjanie. Pułkownik zaczął nasłuchiwać, ale znowu zaległa cisza.

Zdjął kapelusz z uroczystym wyrazem twarzy.

— Nie mamy się co łudzić, proszę pani. Lepiej spojrzeć prawdzie w oczy. Przyjaciele opuścili nas, ale odeszli jak dzielni ludzie.

— Ale po co by strzelali? Mieli... mieli dzidy — drżała mówiąc te słowa.

— To prawda — przyznał pułkownik. — Nie chciałbym za nic w świecie odbierać pani tych istotnych podstaw nadziei, ale z drugiej strony nie powinniśmy sami gotować sobie gorzkich zawodów. Gdyby to był naprawdę atak, musielibyśmy usłyszeć odpowiedź. Zresztą Egipcjanie przypuściliby forsowny szturm. Niemniej jednak, rzeczywiście jest dziwne, że jak pani zauważyła, trwonią naboje. Rany boskie! Widzą panie?

Wyciągnął rękę w kierunku wschodnim. Po olbrzymiej równinie przesuwaly się cicho i ukradkiem dwa cienie, majaczące na jaśniejszym tle pustyni. To nikły, to wypływały wśród falujących rozłogów, wyglądało jak gdyby uciekały przed Arabami. Naraz zatrzymały się na szczycie piaszczystego pagórka i jeńcy mogli zobaczyć dokładnie na tle nieba dwu ludzi na wielbłędach, którzy siedzieli okrakiem jak na koniach.

— Egipski Korpus Wielbłędzi! — zakrzyknął pułkownik.

— Dwu ludzi! — jęknęła panna Adams głosem rozpacz.

— To tylko podjazd, proszę pani. Jedna z macek powysuwanych wszędzie przez pustynię. Główny oddział musi być o jakieś dziesięć mil od nas. Pojechali go wezwać. Dobry, pocziwy Korpus Wielbłędzi!

Tak zawsze panujący nad sobą, systematyczny oficer ze wzruszenia zaczął bełkotać. Z piaszczystego wzgórza wyblsło czerwone światelko, po nim drugie, a potem trzask karabinowych wystrzałów. I wtedy oba cienie przepadły raptownie jak dwa pstrągi w strumieniu.

Arabowie przystanęli na chwile, jakby niepewni, czy mają przerwać podróż i puścić się za nimi w pogoń, czy też jechać dalej, nie zważając na nic. Ściagać było trudno, bo wśród falujących piasków nie wiadomo w jakim kierunku pojechały podjazdy. Emir przegalopował wzdłuż szeregu ze słowami pobudki i zachęty. Wielbłądy puściły się klusem i nadzieje jeńców utonęły w męce przeraźliwego trzęsienia. Mila za milą gnali tak naprzód przez olbrzymią pustynię, kobiety przywarły z całej siły do sodeł, pułkownik, złamany był prawie tak samo jak one, ale zawsze jeszcze baczny na wszelki ślad pogoni.

— Zdaje mi się... zdaje mi się, że coś się rusza przed nami — zawołała pani Belmont.

Pułkownik uniósł się na siodle i przysłonił oczy od księżycy.

— Przebóg! Ma pani słuszość. Są ludzie przed nami. Wszyscy już ich teraz mogli zobaczyć — długi sznur jeźdźców, ciągnący przez pustynię.

— Jadą w tym samym kierunku, co my! — jęknęła pani Belmont, która miała daleko lepsze oczy od pułkownika.

Cochrane zaklął pod wąsem.

— Niech pani spojrzysz na ślady — rzekł — to nasze własne przednie strażę, które wcześniej wyjechały z oazy. Dlatego tak nas piekielnie gonią, żeby się z nimi połączyć.

Podjechawszy bliżej, przekonali się, że w rzeczy samej był to pierwszy oddział arabski i właśnie emir Wad Ibrahim zawrócił ku nim na radę z Abderrahmanem. Wskazywali dłonią w kierunku, w którym ukazały się podjazdy i kiwali głowami jak ludzie, którzy mają dużo poważnych trosk. Po czym oba oddziały rabusiów zwały się w długi wyciągnięty sznur i skierowały dokładnie w stronę Krzyża Południa, który świecił nad horyzontem. Mijała godzina za godziną, a oni jechali tym okropnym kłusem. Omdlewające kobiety trzymały się kurczowo siodła. Cochrane zaś wymizerowany, ale niezmożony, podtrzymywał w nich ducha i bezustannie oglądał się wypatrując śladów pogoni. Krew huczała mu w skroniach, a wołał, że słyszy bicie bębnow w ciemności. W gorączkowych wizjach wydawało mu się, że niezliczona pogoń bieży tuż za nimi i przez całą długą noc bezustannie zwiastował dobre nowiny, które stale kończyły się rozczarowaniem i goryczą. Wschodzące słońce ukazało ciągnącą się w dal bez końca martwą pustynię, na której jedynym ruchomym punktem byli oni sami. Błędnym wzrokiem i z ciężkim sercem rozglądali się po pustym ogromie, a nadzieje ich rozwiewały się jak ranne mgły na widnokręgu.

Dla pań bolesne było patrzeć na jadącego z nimi człowieka i uświadamiać sobie, że to nie kto inny, tylko elegancki, wyświeżony oficer, ich towarzysz podróży od Kairu. Tak, jak panna Adams, zestarzał się w jednej chwili. Włosy jego, które w czasie ostatnich przygód w oczach przyprószyły się siwizną, były teraz białe jak mleko. Biała szczecina zacierała mocne i ostre linie podbródka i szyi. Żył na twarzy miał nabrzmiałe, a rysy poprzecinane siecią głębokich zmarszczek.

Jechał przygarbiony, z głową zwieszoną na piersi — jego sterana, zgrzybiała postać budziła litość, z oczu tylko przebierała jeszcze zawsze mężna dusza, która tkwiła w tej sponiewieranej skorupie. Mającący, na pół żywy, zachował wobec kobiet rycerski ton obrońcy, nie szczędził im troskliwych rad i słów pocieszenia, bez przerwy wypatrując pomocy, która nigdy nie nadchodziła.

W godzinę po wschodzie słońca rozbójnicy zatrzymali się i rozdano wszystkim posiłek i wodę. Po przerwie jazda odbywała się już w bardziej umiarkowanym tempie, a długa wyciągnięta na południe karawana zajmowała więcej niż ćwierć mili. Mniej surowe przestrzeganie dyscypliny i ton rozmów dały poznać, że Arabowie wydostali się już, jak mniemali, ze strefy pościgu. Kierunek południowy pochodu zmienił się na południowo—wschodni i niewątpliwie mieli zamiar po wielkim okrażeniu dojechać z powrotem do Nilu, już poza zasięgiem ostatnich placówek egipskich. Od razu zaczął się zmieniać charakter krajobrazu. Wyjechali z otwartej i kamienistej pustyni, a zagubili się znowu wśród dziwacznych, spalonych od żaru czarnych skał z pomarańczowymi piaskami, takich samych, jak te, wśród których jechali na początku. Po obu stronach wznosiły się stożkowate pagórki ze zboczami w kształcie tarasów, z odkruszonymi złomami, w stromych kominach skalnych niby wodospady zwiślały namuliska piasku. Wielbłądy szły jeden za drugim, wijącą się wśród skał wstęgą i wyszukiwały gąbczastymi kopytami miejsca, które dla koni byłyby nie do przebycia. W skalnej kotlinie jadący na końcu mogli widzieć daleko na przedzie wygięte i wahadłowo poruszające się szyje zwierząt, jak gdyby

oglądane we śnie pochody węży. W ogóle cały marsz sprawiał na jeńcach wrażenie snu, bo nie słyszeli najlżejszego dźwięku poza cichym stąpieniem nóg wielbłądzych. Dziwny, widmowy orszak posuwał się z wolna pośród dziczy czarnych krzesanic i żółtego piachu, pod sklepieniem lśniącego błękitu, zawisłego nad poszarpanymi ścianami wąwozu.

Panna Adams, która zastygła w milczeniu podczas długiej chłodnej nocy, od wschodu słońca zaczęła tajać w ciepłe. Rozejrzała się wokoło, zacierając chude ręce.

— Sadie — zaczęła — dlaczego w nocy zdawało mi się, żeś płakała, a teraz widzę, duszko, że masz czerwone oczy?

— Myślałam ciociu.

— Musimy, kotku, starać się myśleć o innych, nie o sobie.

— Ja nie o sobie myślałam.

— O mnie nigdy się nie martw, Sadie.

— Nie, ciociu, ja nie o cioci myślałam.

— Więc o kim?

— O panu Stephensie, cioteczko. Jaki on był dobry i jaki odważny! Jak dbał o każdą drobnostkę dla nas, starał się jeszcze ściągnąć kurtkę z biednych, związanych rąk, kiedy mordercy czyhali już na niego. On będzie od dzisiaj na zawsze moim świętym i moim bohaterem.

— Teraz jest już wolny od ziemskich zgryzot — odpowiedziała panna Adams z ową dziwną tępotą, którą często wiąże się ze starością.

— To i ja chciałabym być wolną.

— Nie wiem, w jaki sposób miałabyś mu przez to pomóc.

— Przypuszczam, że czułby się mniej samotny — odpowiedziała Sadie z pochyloną ku ziemi twarzą.

Wszyscy czworo jechali przez pewien czas w milczeniu, kiedy nagle pułkownik podniósł rękę do czoła ruchem najwyższego przerażenia:

— Wielki Boże — zawołał — zupełnie tracę zmysły!

W nocy już mieli co do niego parokrotnie to samo podejrzenie, ale jednak od wschodu słońca był całkiem normalny. Toteż zaskoczył ich ten nagły wybuch i starali się łagodnie uspokoić go.

— Mam zupełnie pomieszanie zmysłów — powtórzył. — Czy odgadną panie, com zobaczył?

— Wszystko jedno co, niech się pan nie przejmuj — mówiła pani Belmont, kładąc pieśczośliwie rękę na jego dłoni, kiedy ich wielbłądy się zrównały. — Nie ma w tym nic dziwnego, jest pan przemęczony. Tyle czasu myślał pan i działał za nas wszystkich. Zatrzymamy się niedługo, a parę godzin snu zupełnie postawi pana na nogi.

Ale pułkownik znowu podniósł oczy i znowu krzyknął z wyrazem wzburzenia i przestachu.

— W moim życiu nic nigdy nie widziałem wyraźniej. Na czubku skały, po naszej prawej ręce, stoi biedny ksiądz w mojej czerwonej chustce na głowie, zupełnie taki jak go zostawiliśmy.

Kobiety spojrzały w ślad za przerażonym wzrokiem towarzysza i po chwili ogarnęło je to samo osłupienie.

Czarna turnia, niby baszta, sterczała na prawo od okropnego grzebienia, na który w tej chwili mozolnie pięły się wielbłądy. W jednym punkcie wystawał z niej ostry ząb, a na nim samotnie rysowała się postać ludzka, cała czarna z wyjątkiem błyszczącego rąbka szkarlatu na głowie. Nie mogło być na pewno dwu takich krótkich, pękatych figur, ani dwu takich wielkich, ziemistych twarzy na pustyni libijskiej. Pochylony naprzód, zdawał się z przejęciem zaglądać w głąb wąwozu. Poza jego i sylwetka przypominały karykaturę wielkiego Napoleona.

— Czy to może być on?

— Musi być on! I jest! — wołały panie. — Widzi pan? Patrzy na nas i macha ręką.

— Wielkie nieba! Zabiją go! Zejdźcie, księżu, bo was zastrzelą — ryczał pułkownik. Ale z jego suchej krtani dobywał się tylko niezrozumiały bełkot.

Kilku derwiszów zauważyło dziwną zjawę na turni i odpasało rewolwery, w tej samej chwili jednak długie ramię wysunęło się zza księdza, ciemna ręka chwyciła go za ubranie i zniknęła w mgnieniu oka. Niżej, na przełęczy, akurat pod miejscem, na którym stał przed chwilą, ukazała się wysoka postać emira Abderrahmana. Wskoczył na głaz, krzyczał i dawał znaki rękoma, ale głos jego utonął w przeciągłej strzelaninie, jaka huknęła z obu stron przełęczy. Podobna do baszty turnia najeżyła się lufami, a powyżej cyngli pojawiły się czerwone fezy. Z przeciwległej skalnej ściany wybłysnął snop płomieni i gruchnęły strzały. Rabusie wpadli w zasadzkę. Emir przewrócił się, ale podniósł się znowu i dalej dawał znaki. Na jego długiej białej brodzie widniała plama krwi.

Pokazywał coś i gestykulował, ale niepodobna było zrozumieć, o co mu chodzi. Jedni z jego żołnierzy zaczęli się tłoczyć z powrotem do ujścia wąwozu, drudzy, jadący w tyle pchali się naprzód. Niektórzy zeszli z wielbłądów i z szablami w ręku zaczęli się pięć ku śmiercionośnej linii ognia, ale rażeni kulami staczali się jeden po drugim, ze złomu na złom, aż do dna skalnego jaru. Strzały nie były zbyt celne. Jeden z Murzynów, bezbronny, wdarł się na stok i dopiero przed samym wierzchołkiem otrzymał cios w głowę kolbą karabinu. Emir stoczył się z głazu i leżał jak pomiętoszony gałgan, jak łaciaty materac na dnie żlebu. Dopiero kiedy połowa oddziału padła, ci sfanatyzowani ludzie zrozumieli, że walka w wąwozie jest dla nich zabójcza, że muszą wydostać się koniecznie na otwartą przestrzeń. Zaczęli gnać galopem przez wąwóz. Straszny był widok wielbłądów, galopujących po kamienistych rozpadlinach. Przerażenie samego zwierzęcia, jego niezgrabne susy, z wszystkimi nogami w powietrzu, jego ohydne piski i wreszcie wycia jeźdźców, którzy przy każdym podskoku wyrzucani byli wysoko nad siodło, wszystko to składało się na niezapomniany widok. Kobiety zaczęły krzyczeć ze strachu, kiedy ten oszalały potok przepływał koło nich, ale pułkownik odprowadzał ich wielbłądy coraz dalej od uciekających Arabów. Powietrze pełne było świstu kul, które z łoskotem spadały na okoliczne kamienie.

— Niech panie się nie ruszają, aż wszyscy przelecą koło nas — szeptał Cochrane, który w godzinie czynu od razu poczuł się w swoim żywiole. — Marzę o tym, żeby wypatrzeć Tippy Tilly i jego towarzyszy. Teraz naprawdę mogliby nam dopomóc. — Przyglądał się bacznie obłąkańczemu cwałowaniu zbiegów na oszalałych wielbłądach, ale czarnej twarzy egipskiego kanoniera nie było w tej masie.

Zdawało się teraz, że cały oddział, pochłonięty jedyną myślą, aby wydostać się z wąwozu, najzupełniej zapomniał o jeńcach. Główna lawina przeleciała i tylko maruderzy biegli jeszcze pod gradem okropnego ognia, który lał się na nich z góry. Ostatni ze wszystkich, młody Baggara z czarnym wąsem i ostrą bródką, przejeżdżał, patrząc w górę i w bezsilnej złości wygrażał karabinem w stronę strzelców egipskich. W tej chwili padł strzał i jego wielbłąd runął jak długi, z szyją i z nogami wyciągniętymi na ziemi. Młody jeździec zeskoczył i porwawszy zaczepioną o nozdrza wierzchowca uzdę, zaczął okładać biedne zwierzę klingą szabli, aby je zmusić do powstania na nogi. Jednak zapadające w mrok i zachodzące łzą oko mówiło nieomylną prawdę, a w walkach pustynnych śmierć wielbłąda oznacza śmierć jeźdźcy. Baggara rozejrzał się dookoła jak osaczony lew, jego czarne oczy rzucały zabójcze błyski spod czerwonego turbana. Szkarłatne plamy jedna za drugą wykwitwały na jego ciele, lecz nawet nie drgnął pod deszczem kul. Nagle spojrzenie jego natrafiło na jeńców: wściekłym ruchem rzucił się ku nim, a naga szabla migotała mu nad głową. Panna Adams znajdowała się najbliżej na jego drodze, ale na widok pędzącego rzuciła się sama z wielbłąda i potoczyła się daleko po kamieniach. Arab wpadł na skałę i zamierzył się na panią Belmont, wszelako nim cios jego mógł ją osiągnąć, pułkownik wysunął

się z pistoletem i wystrzelił w głowę szaleńca. Wściekłość, która nim miotła, mocniejsza była nawet od śmierci, leżąc już, wierzgnął jeszcze i drgał między kamieniami jak ryba na żwirze.

— Niech się panie nie boją! — wołał pułkownik. — Jest naprawdę zabity, ręczę za to. Przykro mi, że musiałem to zrobić w obecności pań, ale ten człowiek był niebezpieczny. Miałem prócz tego i własny interes, żeby się z nim porachować, bo to on próbował zdruzgotać mi żebra rewolwerem. Mam nadzieję, że się pani nic nie stało? — zawołał z daleka do panny Adams.

Ale Amerykanka wyszła bez szwanku, bo głazy były tak wielkie, że z małej wysokości stoczyła się ze swego wielbłąda. Sadie, pani Belmont i pułkownik schodzili ku niej, skacząc po kamieniach. Zastali ją już na nogach — powiewała ku nim triumfalnie strzępami zielonego welonu.

— Wiwat Sadie! Wiwat drogie, kochane dziecko! — wykrzykiwała. — Jesteśmy nareszcie ocaleni!

— Tak, tak ocaleni — huczał pułkownik i wszyscy wpadli w szal radości.

Lecz Sadie nauczyła się więcej myśleć o innych w tych dniach próby. Otoczyła ramionami panią Belmont i przytuliła policzek do jej twarzy.

— Drogi, słodki aniele — szeptała — jak możemy się cieszyć, kiedy pani, kiedy pani...

— Przecież ja w to nie wierzę — krzyknęła mężna Irlandka. — I nie uwierzę nigdy, dopóki ciała Johna nie zobaczę na własne oczy. Ale jeżeli zobaczę, nie będę już mogła żyć ani chwili.

Ostatni derwisz zniknął za przełęczą i jednocześnie na szczytach skalnych po obu stronach wąwozu ukazali się Egipcjanie — rośli i smukli a szerocy w barach żołnierze, których sylwetki na tle błękitu dziwnie przypominały wojowników ze starożytnych płaskorzeźb. Zostawili wielbłądy i zbiegli błyskawicznie ku jeńcom. W tej samej chwili ukazał się inny oddział, zbliżający się na wielbłądach z głębi wąwozu; ciemne twarze pały, a oczy świeciły radością zwycięstwa. Na ich czele jechał Anglik bardzo niskiego wzrostu, z jasnym jak słoma wąsikiem, o wyglądzie człowieka bardzo zmęczonego. Zatrzymał wielbłąda koło rozbitków i uklonił się paniom. Miał na sobie żółte buty i żółty pas ze stalowymi sprzączkami, co nadawało mu mimo wojskowego munduru wygląd robotnika.

— No, tym razem mamy tych bratków i to dokumentnie — odezwał się. — Cieszę się, że mogłem być pomocny, panie dobrodzieju. Mam nadzieję, że nie ucierpieli państwo przez tę historię? Ale dla pań to przejście nie lada.

— Pan z Halfy, jak sądzę? — zapytał pułkownik.

— Nie, panie dobrodzieju, my z drugiego oddziału. Stoimy załogą w Sarras. Spotkaliśmy się na pustyni i uderzyliśmy na nich od przodu, a tamte zuchy wzięły ich od tyłu. Mamy ich jak na talerzu, powiadam panu. Niech państwo wejdą na tę skałę, a zobaczą widoczek, no, no... Teraz właśnie idzie pukaninka dookoła.

— Parę osób z naszego towarzystwa zostało przy źródłach. Jesteśmy wysoce zaniepokojeni — przerwał pułkownik.

— Może pan coś wie o nich?

Młody oficer zrobił poważną minę i potrząsnął głową. — Ładna zabawa — rzekł. — To barbarzyńcy, nie życzę nikomu zależeć od nich. Nigdyśmy nie przypuszczali, że zobaczymy państwa żywych i szczęśliwi jesteśmy, że chociaż parę osób wyciągnęliśmy z tej paszczy. Liczyliśmy co najwyżej, że będziemy mogli was pomścić.

— Czy prócz pana nie ma nikogo z Anglików?

— Archer jest z oddziałem oskrzydającym. Musi przejechać tędy, bo nie sądzę, żeby istniała inna droga. Jednego z waszych już mamy. Pocieszna figurka: czarna z czerwonym czubkiem. Zobaczymy się jeszcze, liczę na to. Żegnam panie. Podniósł palce do hełmu, zaciął wielbłąda i puścił się za swoim oddziałem.

— Najlepiej zrobimy, czekając tu, aż wszyscy przejdą — oznajmił pułkownik, bo było teraz widoczne, że musi tędy przejść całe wojsko z góry. I faktycznie — rwanym łańcuchem przesuwali się żołnierze czarni i brązowi, Sudańczycy i fellahowie, ale wszystko wyborowe oddziały, bo Korpus Wielbłądzi jest perłą armii egipskiej. Wszyscy mieli żółte pasy skórzane przez ramię i strzelbę u nogi. Przy oddziale jechał barczysty mężczyzna z zawieszonym czarnym wąsem i małą lunetką w ręku.

— Hola! Archer! — huknął pułkownik.

Oficer spojrział na niego nic nie mówiącym spojrzeniem, jak na zupełnie obcego człowieka.

— Jestem Cochrane, pamiętacie? Podróżowaliśmy razem.

— Pan wybaczy, ale nie przypominam sobie — odpowiedział tamten. Znałem pułkownika Cochrane Cochrane'a, ale to był kto inny. O jakieś pół głowy wyższy od pana, brunet i...

— Dobrze sobie — uniósł się pułkownik — spróbujcie tak parę dni spędzić wśród derwiszów, a zobaczymy czy przyjaciele was poznają.

— Wielki Boże! Cochrane! Więc to wy naprawdę? Nie wierzę własnym oczom! Coście wy musieli przejść! Słyszałem, że ludzie mogą osiwieć w jedną noc, ale na miłość boską...

— Właśnie też... — zaciął się, czerwieniąc pułkownik. — Pozwólcie zwrócić sobie uwagę, Archer, że byłoby dużo lepiej, gdybyście znaleźli coś do zjedzenia i wypicia dla naszych pań, zamiast rozstrząsać sprawę mojego wyglądu.

— Słusznie mówicie — odparł kapitan. — Wasz towarzysz ksiądz wie, że tu jesteście i zaraz coś wam przyniesie. Licha to strawa, proszę pań, ale lepszej nie posiadamy. Jesteście stary żołnierz, Cochrane. Wejdźcie no na tę skałę, a zobaczycie ciekawy widok. Ale czas na mnie, bo zaraz znowu otwieramy ogień. Czy mogę czymś państwu służyć przed odejściem?

— Nie macie przypadkiem czegoś w rodzaju cygara? — podchwycił natychmiast pułkownik.

Archer wyciągnął z kieszeni grubą cygarnicę i wręczył ją koledze, po czym pognął za swymi ludźmi, a pułkownik, wsparty o skałę, począł z lubością zaciągać się wonnym dymem. Jego rozklekotane nerwy poczuły momentalnie całą wartość narkotyku, słodkiego krzepiciela, który przywraca opadające siły i koi znużoną głowę. Śledził okiem błękitne kręgi, snujące się w kapryśnych zwojach, czuł miły, aromatyczny smak na podniebieniu i rozkoszne rozleniwienie rozchodziło się po jego udreżonym ciele. Panie siedziały wszystkie trzy razem na płaskiej skale.

— Boże mój, jakże ty wyglądasz Sadie — zawołała ni stąd, ni zowąd panna Adams a był to znowu po raz pierwszy jej dawny ton. — Co twoja matka powiedziałaaby na taki widok? Skąd masz tyle słomy we włosach? A sukienka jest pomięta jak flak.

— Zdaje się, że wszystkie wyglądamy jak nieboskie stworzenia — odpowiedziała Sadie, a głos jej był o wiele głębszy, niż głos dawnego trzpiota. — Pani Belmont jest i tak śliczna, ale swoją drogą włosy troszeczkę pani poprawię.

Oczy pani Belmont błędziły gdzieś daleko, potrząsnęła smutnie głową, i odsunęła delikatnie rękę dziewczęcia.

— Wszystko mi jedno, jak wyglądam. Nie jestem zdolna myśleć o tym — odrzekła. — I ty byś tak samo myślała, gdybyś tak okropnie jak ja rozstała się z ukochanym człowiekiem.

— Zdaje mi się, zdaje mi się, że i ja także trochę... — rozplakała się biedna Sadie i ukryła rozpaloną twarz na piersi towarzyszki.

ROZDZIAŁ X

Cały Korpus Wielbłądzi puścił się wzdłuż wąwozu w pościgu za uciekającymi derwiszami i jeńcy na chwilę pozostali sami. W tej chwili właśnie usłyszeli nad sobą wołanie i spośród skał wynurzył się czerwony turban a pod nim wielka, uśmiechnięta twarz księdza niekonformisty. Podpierał się grubym oszczepem, bo rana w nodze nie pozwalała mu jeszcze na swobodę ruchów i ta mordercza kula w połączeniu z łagodną powierzchownością tworzyły bardzo humorystyczną całość, jak gdyby jagnię zniecka wysunęło pazury. Za nim szli dwaj Murzyni z koszykiem i z bukłakiem.

— Ani słowa, ani słowa — krzyczał, kiedy go obstąpili. — Wiem doskonale, jak się macie, przeszedłem dokładnie to samo. Ali, podaj no wody. Dla panny Adams na razie tylko pół kubeczka, w tej sekundzie będzie więcej. A teraz pani Belmont. Biedacy wy moi, biedacy wy moi, jakże serce boli patrzeć na was. W koszyku jest chleb i mięso, ale na początek musicie być bardzo ostrożni. — Zachichotał z radości i usługując im, zacierał raz po raz tłuste ręce.

— A gdzie jest reszta? — zapytał nagle i twarz jego od razu pociemniała.

Pułkownik uczynił smutny ruch głową.

— Zostawiliśmy ich koło źródeł. Obawiamy się, że już nie żyją.

— Cyt, cyt! — przerwał mu ksiądz chrapliwym głosem, który jednak niezupełnie zagłuszył okropne przerażenie. — Myśleliście przecież, że już po mnie a oto, na złość wam, jestem. Niech pani nigdy nie traci nadziei. Nie przypuszczam, żeby mąż pani był w podobnie rozpaczliwym położeniu, jak ja onegdaj.

— Kiedy zobaczyłem księdza na skale myślałem, że mi się rozum pomieszał — odezwał się pułkownik. — Gdyby nie to, że i panie księdza widziały, nigdy w życiu nie byłbym zdolny uwierzyć.

— Boję się, że się brzydko zachowałem. Kapitan Archer powiada, że o mało nie pokrzyżowałem im wszystkich planów i że zasłużyłem na sąd polowy i na śmierć. Ale, kiedy usłyszałem Arabów w wąwozie, zapomniałem o wszystkim, przejęty tylko jedną myślą, czy ktoś z was jeszcze żyje?

— Dziwię się, że księdza nie zastrzelono i bez żadnego sądu polowego — zauważył pułkownik. — Ale jakim cudem znalazł się ksiądz tutaj?

— Oddział z Halfy był tuż tuż za nami, kiedyście mnie zostawili i znalazł mnie na środku pustyni. Musiałem być nieprzytomny, bo mówili, że słyszeli z bardzo daleka mój głos, że śpiewałem hymny i tą drogą Opatrzność sprowadziła ich ku mnie. Na jednym z wielbłądów mieli apteczkę i wszystkie środki opatrunkowe, tak, że na drugi dzień doszedłem do siebie. Potem spotkaliśmy się z oddziałem z Sarrasu i przyłączyłem się do niego, ponieważ mieli ze sobą lekarza. Moja rana to głupstwo, a doktor nawet twierdzi, że dla człowieka mojej tuszy utrata krwi jest zupełnie nieszkodliwa. A teraz drodzy państwo — i jego wielkie piwne oczy przestały się uśmiechać i przybrały wyraz poważny i uroczysty — byliśmy wszyscy o włos od śmierci i kto wie, może nasi towarzysze jeszcze są w tym położeniu. Ta sama potęga, która nas ocaliła, może i ich ocalić, pomódlmy się więc razem aby się tak stało i pamiętajmy zawsze, że jeżeli nawet wbrew naszym modlitwom, to nie nastąpi, musimy pogodzić się z tym faktem jako z najlepszym i najmądrzejszym stanem rzeczy.

Uklękli wszyscy na czarnej skale i modlili się, jak niektórzy z nich nie modlili się nigdy przedtem. Bardzo było łatwo filozofować na temat religii na pokładzie *Koroska* i czuć się pewnym siebie i silnym na wygodnym leżaku, pod białą zasłoną, kiedy usłużny Arab roznosił

kawę i likiery. Ale teraz byli wyrzuceni poza nawias pogodnego istnienia i zetknęli się z okrutnym biegiem wypadków. Zbici i zmaltretowani musieli mieć coś, czego mogliby się uchwycić. Ślepe, nieubłagane przeznaczenie było zbyt okrutne, by mieli w nie wierzyć. Siłę karzącą, działającą rozumnie i celowo, siłę żywą, twórczą, która ich oderwała od codziennego trybu życia, zburzyła ich sekciarskie nawyki i wywiodła przemocą na szeroki goścień — oto, co poznali przez te straszne dni grozy. Jakież wielkie ręce pochwyciły ich nagle, wwały w nowe formy i przeznaczyły do nowych celów. Czy na taką siłę można było wpłynąć przez ludzkie błagania? Albo było można, albo w ogóle nic nie było można — tu tkwiła ostatnia ucieczka dla skrzywdzonego człowieczeństwa. Więc modlili się tak, jak kochanek kocha, jak poeta pisze, z głębi duszy i podnieśli się wszyscy z uczuciem tego wymykającego się wszelkiej logice wewnętrznego spokoju i zadowolenia, jakie tylko modlitwa dać jest w stanie.

— Co to jest? — zawołał Cochrane. — Posłuchajcie!

Odgłos strzału odbił się głośnym echem w ciasnym wąwozie, za nim drugi i trzeci. Pułkownik strzygł uchem jak koń, który usłyszy róg myśliwski i ujadanie sfory.

— W jaki sposób moglibyśmy zobaczyć, co się dzieje?

— Tędy, tędy państwo pozwolą. Tu idzie ścieżka na szczyt. O ile panie zechcą pójść za mną, nie będą narażone na żaden przykry widok.

I ksiądz zaprowadził ich okrężną drogą, aby ominąć ciała, zalegające gęsto dno wąwozu. Droga po kłujących, żuźłowatych kamieniach była nader uciążliwa, wydostali się jednak wreszcie na wierzchołek. Przed nimi leżał rozległy przestwór falistej pustyni, a na pierwszym planie rozgrywała się scena, której nikt z nich nigdy nie będzie mógł zapomnieć. W idealnie czystym i suchym powietrzu, na tle burej pustyni, każdy szczegół rysował się tak ostro, jak gdyby to były figurki poustawiane na stole, które w każdej chwili można dosięgnąć ręką.

Derwisze — a raczej ich niedobitki — jechali opodal w beładnej kupie, ich łaciaste kaftany i czerwone turbany chwiały się w takt ruchu wielbłądów. Nie robili wrażenia wojska rozgromionego, bo ruchy ich były bardzo powolne, ale rozglądali się i zmieniali szyki, jak gdyby nie byli pewni, jakiej taktyki należy się trzymać. Nic dziwnego, że wyglądali nieswojo; wobec ostatecznego wyczerpania wielbłądów położenie ich było beznadziejne. Oddział sarraski wynurzył się z wąwozu, żołnierze posiadali z wielbłądów, ustawiając swoje wierzchowce grupkami po cztery, strzelcy tymczasem ukłękli w długi szereg, przed którym zabieliła się zaraz kłębiasta linia dymu. Jedna za drugą śmigwały z niej kule ku Arabom, którzy ostrzeliwali się chaotycznie, siedząc na wielbłądach. Ale oczy widzów oparły się nie na smętnej grupie derwiszów, ani nawet nie na długiej linii kłęczących strzelców. Gdzieś z oddali trzy szwadrony halfańskiego Korpusu Wielbłądziego zbliżały się zwartą kolumną i zatoczyły wspaniałe półkole. Arabowie byli wzięci w dwa ognie.

— Na Boga! — krzyknął pułkownik. — Czy widzicie, co się dzieje?

Wielbłądy derwiszów ukłękły wszystkie razem i jeźdźcy zeskoczyli na ziemię. Na ich czele widać było wysmukłą, okazałą postać — nie mógł to być nikt inny, jak emir Wad Ibrahim. Na jedną chwilę przykląkł w modlitwie. Potem wstał, wydobył coś z siodła i rozłożył bardzo oględnie na piasku.

— Wielki Boże! — krzyknął pułkownik. — Stał na skórze jagnięcia!

— Co pan chce przez to powiedzieć? — zapytał ksiądz Stuart.

— Każdy Arab ma przy siodle skórę jagnięcą. Kiedy widzi, że jego położenie jest bez wyjścia, a jednak jest zdecydowany walczyć do końca, wyciąga ją i stoi na niej aż do śmierci. Widzą państwo? Wszyscy stanęli na jagnięcych skórkach. Teraz będą walczyli na śmierć i życie.

Dramat zbliżał się szybko do zakończenia. Oddział halfański podjechał już blisko i pierścień dymu i ognia otoczył garść kłęczących derwiszów, którzy odpowiadali jak mogli. Wielu padło,

ale pozostali bronili się z niezachwianą odwagą, która czyniła z nich zawsze godnych szacunku przeciwników. Kilkanaście trupów w mundurach *khaki*, leżących na piasku, wskazywało, że i dla Egipcjan zwycięstwo nie było bezkrwawe... W pewnym momencie odezwała się trąba wśród oddziału sarraskiego, odpowiedział mu podobnie korpus halfański. Wielbłądy przyklęły i żołnierze stanęli w długiej linii krzywej. Ostatni strzał — i runęli naprzód z opętanym wrzaskiem, którego nauczyli się od Murzynów z puszczy środkowo—afrykańskich. Przez chwilę widać było kłębowisko wijących się ciał, wznoszących się i opadających kolb karabinów i ostrza dzid, które śmigły w ruchomej chmurze pyłu. Jeszcze raz zagrała trąba, Egipcjanie odskoczyli w tył i z niesłychaną sprawnością pierwszorzędnej armii sformowali szeregi. A pośrodku, każdy na swojej skórze jagnięcej, leżeli wspaniałe barbarzyńca i jego jeźdźcy.

Trzy kobiety patrzyły odrętwiałe ze zgrozy i zarazem przykute rozgrywającą się sceną. Po skończonej bitwie Sadie i ciotka rozpląkały się. Pułkownik zwrócił się do nich z jakimś pogrzbającym słowem, kiedy przypadkiem wzrok jego padł na panią Belmont. Była blada, jak wyrzeźbiona z kości słoniowej, a wielkie szare oczy patrzyły niby w zachwyceniu.

— Na miły Bóg, co pani jest? — krzyknął przerażony. Zamiast odpowiedzi wyciągnęła rękę w stronę pustyni.

Gdzieś, niezmiernie daleko, poza polem bitwy, mały oddziałek jeźdźców zbliżał się w ich stronę.

— Na Jowisza, tak, tak, ktoś tam jedzie. Któż to może być?

Wszyscy wyteżyli wzrok, ale odległość była zbyt wielka, pewne było jedynie, że są to ludzie na wielbłądach, w liczbie około dwunastu.

— Czy to nie te diabły, które zostały przy źródłach? — pytał sam siebie pułkownik. — Bo i któż to mógłby być inny? Jedyna pociecha, że żywi nie ujdą. Wpadli w paszczę lwa.

Ale pani Belmont patrzyła bez przerwy z tym samym wyrazem twarzy i tak samo trupioblada. Nagle wyciągnęła ramiona z dzikim okrzykiem radości.

— To oni!... Ocaleni!! To oni! Panie pułkowniku, to oni! Panno Elizo! Panno Elizo! Czy pan widzi? Jadą!

Z dzikim spojrzeniem zbiegła ze szczytu pagórka.

Towarzysze nie uwierzyliby — widzieć nic nie mogli — ale bywają chwile, kiedy zmysły śmiertelnych są ostrzejsze, niż śmiałyby kiedykolwiek przypuścić ktoś, kto nigdy nie znalazł się w podobnej sytuacji. Dopiero gdy pani Belmont zbiegła po skalnej ścieżce ku swemu wielbłądowi, mogli zobaczyć to, co było przyczyną jej anielskiej radości. Wśród półkola nadjeżdżającego oddziałku białły się w słońcu trzy punkciki — mogły to być tylko kapelusze trzech Europejczyków. Zbliżali się szybko i nim przyjaciele wyruszyli na ich spotkanie, można już było doskonale rozpoznać, że w rzeczy samej są to Belmont, Fardet i Stephens z dragomanem Manzorem i rannym strzelcem sudańskim. Kiedy podjechali, okazało się, że eskortę ich stanowią Tippy Tilly i jego gromadka. Belmont podbiegł ku żonie, Fardet tymczasem ścisnął dłoń pułkownika.

— *Vive la France! Vivent les Anglais!* — ryczał. — *Tout va bien, n'est ce pas, monsieur le colonel? Ah, quelles canailles! Vivent la croix et les chretiens!* — W swoim oszołomieniu był zupełnie niekonsekwentny.

I pułkownik rozentuzjasmował się, w granicach, na jakie pozwalała mu anglosaska natura. Nie umiał gestykulować, ale śmiał się z jakimś nerwowym gdakaniem, co było u niego wyrazem najwyższego wzruszenia.

— Jakże się cieszę, że pana widzę. Myślałem, że zostaliście zamordowani. Nic w życiu jeszcze tak mnie nie uradowało. Jakżeście się wydostali?

— To wszystko pana zasługa.

— Moja?

— Tak, drogi panie, a ja zadzierałem z panem. Jestem niewdzięcznikiem.

— Ależ w jaki sposób ja was uratowałem?

— To pan umawiał się z tym dzielnym Tippy Tilly i obiecał im taką sutą nagrodę, jeżeli wrócimy żywi do Egiptu. Otóż wyslizgnęli się w mroku i ukryli w zaroślach. Potem, kiedy zostaliśmy sami, wypadli z bronią i zabili naszych niedoszłych katów. Żałuję, że sprzątnęli tego przeklętego mułę, bo byłbym go przekabacił na chrystianizm. A teraz, za pozwoleniem pana, lecę uściskać pannę Elizę, bo Belmont ma żonę, Stephens pannę Sadie, więc chyba będzie słuszne aby sympatia panny Elizy mnie przypadła w udziale.

Minęły dwa tygodnie i specjalny statek, oddany do dyspozycji uratowanych podróżnych, znajdował się już na północ od Assuanu. Następnego ranka mieli przybyć do Baliani, skąd odchodził ekspres do Kairu. Był to więc ich ostatni wspólny wieczór. Panią Schlesinger z dzieckiem, której udało się umknąć szczęśliwie, już wcześniej odstawiono do granicy. Panna Adams odchorowała ciężko całą przygodę i dziś po raz pierwszy lekarz pozwolił jej wyjść po obiedzie na pokład. Spoczywała na leżaku, jeszcze chudsza i bardziej zaszuszone, ale i jeszcze bardziej życzliwa ludziom niż kiedykolwiek, a Sadie otulała jej ramiona szalem. Stephens przyniósł kawę i postawił obok na trzcinowym stoliku. Po drugiej stronie pokładu siedzieli państwo Belmont, milczący, ale szczęśliwi. Fardet, oparty o poręcz, ganił opieszałość rządu brytyjskiego, który nie strzeże pilnie granic Egiptu. Przed nim stał pułkownik wyprostowany jak struna, z czerwonym światełkiem dopalającego się cygara w ustach.

Ale cóż to się stało z pułkownikiem? Jakże mógłby go poznać ktoś, kto widział sędziwego jeńca na pustyni libijskiej? Być może, że parę nitek srebrzyło się w jego wąsach, ale włosy miał jeszcze bardziej krucze, niż na początku podróży. Tonem lodowatym i odpychającym odpowiadał na wyrazy współczucia, jakie spotykały go po powrocie do Halfy, z powodu strasznych przejść skutkiem których tak niespodziewanie osiwiiał. Natychmiast dał nurka do kajuty, a po godzinie mniej więcej zjawiał się znowu, dokładnie taki, jaki był przed fatalną chwilą, która odcięła go od środków umożliwiających zachowanie dziarskiego wyglądu. Każdemu, kto teraz jakoś znacząco spojrział na niego, odpowiadał tak piorunującym spojrzeniem, że nikt nie miał odwagi czynić mu jakichkolwiek uwag o jego ostatniej cudownej przemianie. Od tego czasu zauważono, że pułkownik, ilekroć miał się zapaść na sto jardów w głąb pustyni, zaczynał przygotowania od tego, że wsuwał do bocznej kieszonki marynarki czarną flaszkę z czerwoną nalepką. Ale osoby, które znały go lepiej, twierdziły, że stary wojak ma młode serce i młody umysł, więc jeżeli pragnie zachować również młodzieńczy koloryt, to nie ma w tym, w gruncie rzeczy, nic a nic złego.

Cicho i przytulnie było na pokładzie, ciszę mącił jedynie miły szmer wody, z jakim roztrącała się o boki statku. Niebo na zachodzie zalane było czerwienią zorzy, której odbłaski purpurowymi plamami kładły się na spokojnym i głębokim nurcie. W świetle zmierzchu smukłe czaple stały nieruchomo na piasku nadbrzeżnym a wyżej palmy daktylowe przesuwały się jak majestatyczna procesja. I znowu wykwitły srebrne gwiazdy, te same ciche, niewzruszone światełka, ku którym wznosiły się tylekroć razy ich oczy w długie noce pustynnej męczarni.

— Gdzie panie mają zamiar zatrzymać się w Kairze? — przerwała wreszcie milczenie pani Belmont.

— Przypuszczam, że u Shephearda.

— A pan Stephens?

— O, rozumie się, że u Shephearda.

— My zajedziemy do Continentalu. Mam nadzieję, że się nie stracimy z oczu.

— Chciałabym nigdy nie stracić pani z oczu — zawołała gorąco Sadie. — Musi pani przyjechać do nas do Ameryki. Postaramy się, żeby pani było u nas dobrze.

Pani Belmont uśmiechnęła się swoim zwykłym słodkim uśmiechem.

— Mamy obowiązki w Irlandii, a i tak byliśmy już bardzo długo poza domem. Mąż ma swoją pracę, ja mam gospodarstwo, nie można tego zaniedbywać. Zresztą — dodała z kobiecą przekorą — mogłoby się zdarzyć, że przyjeżdżamy do Ameryki, a ciebie tam nie ma...

— Musimy się wszyscy spotkać — odezwał się Belmont — choćby po to tylko, żeby pogadać o naszych przygodach. Najlepiej będzie za jakiś rok lub dwa, dziś to wszystko jest jeszcze zbyt żywe.

— A jednak wydaje się już odległe i jakby przeżyte we śnie — dodała żona. — Opatrzność jest dobra i przyćmiewa przykre wspomnienia w naszej pamięci. Mam wrażenie, że przeszłam przez to wszystko w jakimś poprzednim istnieniu.

Fardet wyciągnął rękę, ciągle jeszcze obandażowaną.

— Ciało nie zapomina tak prędko, jak umysł. Przyzna pani, że to nie wygląda ani na sen, ani na coś odległego.

— Jak to smutno, że jednych los oszczędził, a innych nie. Gdyby pan Brown i pan Headingly byli teraz z nami, nie dbałabym o nic na świecie — wołała Sadie. — Dlaczego oni zginęli, a my przeżyliśmy?

Ksiądz Stuart wchodził właśnie na pokład z książką w ręku, opierając się na grubej lasce.

— Dlaczego zrywamy dojrzały owoc, a zostawiamy niedojrzały? — rzekł w odpowiedzi na okrzyk dziewczęcia. — Nie wiemy nic o stanie dusz naszych drogich zmarłych, ale wielki Ogrodnik zrywa swoje owoce zgodnie z tym, co Sam tylko wie o nich. Przyniosłem państwu coś do przeczytania.

Na stole stała latarnia, usiadł więc blisko niej. Żółte światło padło na jego wielki policzek i na czerwone rogi książki. Mocny twardy głos wzbijał się nad szum fali:

— „Niechże dzięki składają Panu ci, których On wykupił i oswobodził z ręki nieprzyjaciela, a zebrał ich z krajów rozmaitych, ze wschodu i z zachodu, z północy i południa. Błądząc zeszli z drogi swojej w dzicz i nie znaleźli miasta, w którym mogliby zamieszkać. Łaknący byli i spragnieni, a dusze w nich omdlewały. Podnieśli tedy głos do Pana w niedoli swojej, a On wyzwolił ich od cierpień i wywiódł ich na prostą drogę, i mogli wracać do miasta, gdzie było ich mieszkanie. O, ci ludzie będą odtąd wielbili Pana za Jego dobroć i głosili cuda, które On czyni dla synów człowieczych!”

— Brzmi to, jakby było dla nas ułożone, a jednak zostało napisane przed dwoma tysiącami lat — mówił ksiądz, zamykając książkę. — W każdym stuleciu ludzkość otrzymywała niezbite dowody, że jest jakaś ręka, która ją prowadzi. Co do mnie, nie wierzę, aby natchnienie wyczerpało się przed dwoma tysiącami lat. Tennyson, kiedy pisał z zapalem i przekonaniem:

*O, ale jednak ufamy, że dobro
Jak znak graniczny kiedyś złemu stanie,*

powtarzał orędzie, które było mu powierzone, tak samo jak Ezechiel, swojego czasu, dawał wyraz surowszemu i bardziej pierwotnemu orędziu.

— Bardzo to pięknie, proszę księdza — wdał się Francuz. — Ksiądz każe mi chwalić Boga za to, że mnie uwolnił od niebezpieczeństwa i cierpienia, ale ja chciałbym wiedzieć, dlaczego, jeżeli On świat urządził, w ogóle umieścił na nim niebezpieczeństwo i cierpienie? Moim zdaniem więcej mam powodów do ganienia, niż do pochwały. Nie wiem, czy by mi ksiądz dziękował, za

wyciągniecie z rzeki, jeżeli sam bym go do niej wrzucił. W najlepszym razie można żądać od waszej Opatrzności, aby leczyła rany, które własną dłonią zadaje.

— Nie przeczę, że zagadnienie jest trudne — odparł ksiądz powoli — i człowiek, który nie chce oszukiwać sam siebie, nie może nie uznać trudności. Posłuchajcie, jak Tennyson śmiało mierzy się z nią w tym samym poemacie, największym i najgłębszym, jaki był napisany w naszym języku. Zauważcie, jak on na nią patrzy:

Macam, gdzie pewna była droga I brzemień wąpień mnie przygniata, Gdzie w mrokach wielki ołtarz świata Zawiesza schody swe do Boga.

Wyciągam chrome dłonie — mdleję, Kurz jeno garnąc i splakany Sercem zwę Tego, co jest Panem, Choć skrycie szersze snię nadzieje.

To jest najwyższa tajemnica tajemnic: zagadnienie grzechu i cierpienia, najwyższa trudność, jaką myśliciel musi rozwikłać, aby usprawiedliwić stosunek Boga do człowieka. Ale weźmy nasz własny przykład. Co do mnie, to widzę jasno, ile zyskałem przez to doświadczenie. Mówię to z całą pokorą, ale mam teraz silniejsze poczucie moich obowiązków, niż poprzednio. Nauczyłem się być mniej opieszale w mówieniu prawdy i energiczniejszy w przeprowadzaniu tego, co uważam za słuszne.

— A ja — zawołała Sadie — skorzystałam więcej, niż przez całe moje życie. Mnóstwa rzeczy się nauczyłam i mnóstwa oduczyłam. Jestem zupełnie inną dziewczyną.

— Nie znałem przedtem sam siebie — mówił Stephens. — Nie umiałem nawet dostrzec, że mam jakąś osobowość, nad którą się można zastanawiać. Żyłem dla rzeczy błahych, a omijałem najdonioślejsze.

— Mocne przeżycie nikomu nie zaszkodzi — zawyrokował pułkownik. — Zbyt wygodne, puchowe poślanie i cztery posiłki dziennie nie są dobre ani dla mężczyzn, ani dla kobiet.

— Jestem głęboko przekonana — powiedziała poważnie pani Belmont — że nie ma między nami nikogo, kto by podczas tych dni na pustyni nie stanął duchowo wyżej, niż w całym dotychczasowym życiu. I kiedy grzechy nasze będą ważone, wiele nam będzie przebaczone dzięki tym dniom, przeżytym nie samolubnie.

Przez chwilę wszyscy siedzieli w zamyśleniu, tymczasem szkarłatne pręgi na wodzie pociemniały w karmin, szare cienie pogłębiły się i dzika kaczka przeleciała ciemnym zygzakiem nad metaliczną falą cichopłynnego Nilu. Chłodny powiew zerwał się od wschodu i część towarzystwa zbierała się do odejścia. Stephens nachylił się ku Sadie.

— Pamięta pani, co pani postanowiła na pustyni?

— Co takiego?

— Że jeżeli wyjdzie pani cało, postara się pani kogoś uszczęśliwić.

— W takim razie to zrobię.

— Już to pani zrobiła — odpowiedział i ręce ich złączyły się w cieniu stolika.